

PROGRAM TV ● „Relacje” do likwidacji? ● PARYŻ WIELKIEGO SZOKU
 ● Kogo „zje” reforma? ● KOCHANA TELEWIZJO NOCĄ ● Przyjechało
 NKWD ● CENZURA CZUWA ● Gospodarko, do spowiedzi! ● Solżenicyn
 o Papieżu ● W „Kuncewiczówce” ● OWCZARNIA 1944

TYGODNIK
 WSCHODNI

PL ISSN 0600-8830

Relacje

LUBLIN, 25 - 31.01.1990R.

NR 4 (54)

CENA 800 ZŁ

„TELEWIZJA NOCĄ”

str. 9

Fot. Waldemar Stepień



Listy nie napisane

PARYŻ WIELKIEGO SZOKU

Ewa Czerwińska

Kochani!

Czwarta rano, bar u Serga, dżezik. Paryż się bawi. Piję wino za własze zdrowie. Facet obok, elegancki biały płaszcz, kapelusz, śpi ze szklaneczką whisky w ręku. Nikt go nie rusza.

Wczoraj fliki zabity Murzyna. Ludzie spokojnie przechodzili, kupowali gazety.

Szalona Sekwana. Nocą nienaturalna jak przesadnie wyretuszowane foto. Kolory kottują się razem ze światłami.

Ulica pełna butów. Muzułmanie modlą się do Al-lacha.

Rosyjska emigracja. Kobiety w futrach, kabriolety. Ostatki przedrewolucyjnej świetności.

Dzielnica arabska, sklepik na rogu, gdzie wiecznie spocony patron sprzedaje pieczone główki baranie. W główkach wyszczerzone białe ząbki.

To jest Paryż.

Ulica, murek, na murku butelka wódki i stoik z ogórkami. Polska mowa.

„Stasiu, a co u nas, kurwa, w kraju jest dobrze?”

To też jest Paryż.

1.

Po co tu przyjechałem? Przecież nie po to, żeby pić coca-cola i piwo z puszki.

Pamiętasz, że lubiłem Hemingwaya. Taka męska, mocna literatura o twardzielach i tych, co dostają w dupę. Chciałem to sprawdzić. Zgadza się. Raz byłem twardzielem, a raz dostawałem w dupę. Ale po dwóch latach w Paryżu mogę powiedzieć, że Hemingway już dla mnie za słaby.

2.

Na początku zaczęli się u Krzysia. Mieszkał u znajomych pod Paryżem. Nie mogłem zbyt długo siedzieć mu na głowie, spróbowałem życia na własną rękę. Przez parę tygodni spałem na ulicy. Chciałem nocować w schronisku Matki Teresy z Kalkuty, ale nie było miejsc. Chodziłem tam tylko na obiady — gorąca zupa, kanapka. Razem z kloszardami.

Nieciekawe typy... Spią w brudzie, chleją olbrzymie ilości wina, przesiadują w metrze... Od czasu do czasu jest obława. Przyjeżdża wóz, łapią kloszardów, stry-gą, myją i wypuszczają. A oni z powrotem wracają do swojego wszawego życia. Tak chcą. Wybrali.

Włóczyłem się po najgorszych spelunach. Polacy pytali: „ty się nie boisz?”. Nikt nigdy mnie nie zaczepił. W Paryżu nie ma chuligaństwa.

ROBERT STERLUS

Ciąg dalszy na str. 4

Ludzie mówią tak: „Dożyliśmy czasów, w których nic się nie oplaca, a jedynie, co można zrobić, to czekać”.

CIĄGNIKI RUSZĄ W POLE

Od 1 stycznia 1990 roku w lubelskim „Agromecie” działa spółka „SIPMA” z udziałem kapitału zagranicznego. Współ z trzema firmami włoskimi zamierzają, już w tym roku, uruchomić produkcję jedno- i dwuosobowych mikrociągników na potrzeby rolnictwa. Docelowo będą wypuszczać na rynek 16 tys. sztuk ciągników o mocy 9 i 23 KM. Takie są plany. Na razie fabryka produkuje przetrząsaczo-zgrabiarki i wały przegubowo-teleskopowe do maszyn rolniczych, których jest jedynym wytwórcą w kraju. Spółka zaś oferuje rolnictwu prasy i młocarnie.

Zastępca dyrektora Fabryki Maszyn Rolniczych ds. ekonomiczno-finansowych, Jacek Raś, twierdzi, że na razie powodów do paniki nie ma. Zakład finansowo stoi dobrze, a dzięki temu, że „SIPMA” przejęła znaczną część majątku, mogą sobie pozwolić, aby wszelkie inwestycje pokrywać z bieżących zysków, nie podejmując wysokooprocentowanych kredytów. Dodatkowo spółka daje ludziom pracę, toteż w „Agromecie” nie przewidują masowych zwolnień. Wstrzymano jedynie, ze względu na działania efektywnościowe, przyjęcia nowych pracowników.

Nie oznacza to wcale, że walec reformy przejechał obok fabryki. W stosunku do grudnia ceny

zywać w tempie wprost proporcjonalnym do ich powstawania.

Prywatny handel i rzemiosło nie ogłosiły jeszcze upadłości. Danuła Buczkowska, dyrektor Wydziału Handlu i Działalności Gospodarczej UM w Lublinie, zapewniała, że nie ma powodów do obaw. Wprowadzie do 16 stycznia br. 63 osoby zrezygnowały z prowadzenia prywatnego interesu, ale w tym samym czasie zarejestrowano 141 nowych zakładów rzemieślniczych i usługowych. Wiele osób chce zajmować się sprzedażą na zasadzie handlu obwoźnego ze względu na brak lokali. W ubiegłym roku wpisano do ewidencji działalności gospodarczej prawie 3400 nazwisk, tak że przy końcu 1989 roku w Lublinie funkcjonowało 8 tys. prywatnych zakładów rzemieślniczych, handlowych i gastronomicznych. Czy zatem nastąpi ekspansja prywatniarzy?

W Cechu Rzemiosł mają na ten temat zupełnie odmienne zdanie. To, co się teraz dzieje, twierdzą, to fatalny w skutkach nokaut dla rzemiosła. Szewcy, fryzjerzy, fotografowie zamkną w najbliższym czasie swoje interesy, bo fiskus puści ich z torbami. Na przykład w zakładzie fryzjerskim o powierzchni użytkowej, powiedzmy, 30 m kw., z jednoosobową obsługą, podatek wynosi prawie 200 tys. złotych miesięcznie (przy dwóch osobach 328, a przy trzech 484 tys. zł), a za metr kwadratowy wynajmowanego lokalu trzeba zapłacić 8 tys. zł. W sumie około 450 tys. zł. Do tego dochodzą opłaty za gaz, światło i wodę plus koszty własne. Oszczędnie licząc, wyjdzie mniej więcej 800-900 tys. złotych miesięcznie. Żeby się opłaciło, trzeba by

zarobić przynajmniej 1,5-1,7 mln złotych. Czy fryzjer męski, biorąc za strzyżenie 3-3,5 tys. zł, wyjdzie na swoje?

W prywatnym handlu sytuacja wygląda podobnie. W branży owocowo-warzywniej, która dostarcza na rynek krajowy połowę owoców i warzyw, koszty przekroczą niedługo dochody.

Mały sklepik warzywnicy na lubelskich Łęgach prowadzi dwa małżeństwa, które zmieniają się co miesiąc. Praca od trzeciej rano (wyjazd po towar) do szóstej wieczorem to prawie tyle co dwie zmiany w fabryce. Nikt nie wytrzymałby takiego tempa przez cały rok.

W ciągu czterech pierwszych dni stycznia, obliczała Maria Zdyb, zarobili z mężem 120 tys. zł, z czego 84 tys. zł pochłonęła benzyna. Towar z „warzywniaka” długo nie poleży, więc zapasów nie można zrobić, a za litr „zółtej” trzeba zapłacić 2400 zł. Ludzie też stali się oszczędniejsi i nikt już ogórków (5 tys. zł za 1 kg) czy pieczarek (8 tys. zł za kg) na kilogramy nie kupuje. Nawet ziemniaki, które kiedyś kupowano po 5-6 kg jednorazowo, dzisiaj nierzadko „idą” w półkilogramowych porcjach. Portfele klientów są coraz chudsze, a koszty utrzymania sklepu coraz większe. Do niedawna różne zagraniczne smakołyki (kawa, guma do żucia, słodycze) dawały jedną czwartą, jedną piątą miesięcznego dochodu. Teraz dzieci już nie biegają gromadami po „balonówkę” za 500-700 złotych, a każda matka dobrze się zastanowi, zanim zapłaci z czekoladą 7 tys. zł.

W styczniu oceniali po pierwszych trzech tygodniach Zdybowie, przy dwóch wyjazdach do Warszawy i kilkunastu w obrębie województwa zarobią — po odliczeniu podatku (300 tys. zł) i ceny benzyny — około 1 mln złotych. W następnym miesiącu będą pauzować. I gdyby nie to, że mąż pani Marii dodatkowo pracuje w tym czasie w prywatnej firmie budowlanej, musieliby już w styczniu zwinąć interes. Po prostu handel zieloną przestaje być opłacalny.

Zdybowie myślą o założeniu sklepu nabiałowego, rozumując słusznie, że bez pomidora czy papryki ludzie wytrzymają, ale chleb, masło i mleko musi być w każdym domu. Teoretycznie mają rację. Tylko czy obecne przepisy podatkowe i galopująca inflacja nie zmuszą ich do kapitulacji jeszcze przed sprzedażą pierwszych bułek i rogali?

Hyperinflacja, twierdzą rządowi eksperci, jest naszą szansą wyjścia z inflacji. M. in. dzięki niej prawdopodobnie już w lecie, skaczące ceny i pieniądze bez pokrycia będą tylko przykrym wspomnieniem. A wtedy może zostaną stworzone podstawy dla normalnej gospodarki rynkowej. Na razie pozostaje oczekiwanie.

Też mógłby dać w łapę. Ale nie chce!

DYZUR SENATORA

Henryk Sieńko

O biura posejsko-senatorskiego w Chełmie wstąpiłem, wracając od Tadeusza Padzińskiego ze Strupina. Pisałem o nim w 2. numerze „Relacji”. Czekałem w grupie interesantów na senatora Eugeniusza Wiłkowskiego, wyjąłem kartkę i zacząłem liczyć. Te 20 milionów straty na zbożu nie dawało mi spokoju. Ale rolnik mnie nie oszukiwał. Doliczyłem jeszcze straty wynikłe z potęgającej się inflacji oraz nie odebranych pieniędzy za buraki. Przecież Padziński został zmuszony do sprzedania zboża, to był szantaż. Pod takim warunkiem PZZ kupiły od niego rzepak. Podsumował to krótko: „Niech to będzie forma mojej pożyczki zbożowej dla nowego rządu”. Mnie jednak trudno było oprzeć się wymowie liczb: rolnik stracił ok. 30 mln złotych.

Zanim znalazłem się w pokoju przyjęć senatora, poznałem jego dwóch klientów. Rolnik z Uchań przyjechał ze skargą, bo nie może sprzedać wyhodowanego przez siebie buhaja. Tego dnia objechał cztery punkty skupu — nikt nie chciał przyjąć! Inny interesant — młody chłopak z Chełma — chce rozpocząć tutaj produkcję szamponów. Od roku bezskutecznie stara się o lokal. Wszedłem z nim do pokoju. Chłopak zaczął od tego, że wnerwia się, kiedy minister Kuroń „nadaje” w telewizji o tym, żeby brać swój los we własne ręce, że tylko od nas samych zależy przyszłość... Podaje senatorowi plik dokumentów, z których wynika, że od ponad roku wydeptuje różne dywany w poszukiwaniu lokalu. Chcieli nawet z kolegami budować baraki, takie pawilony, lecz nie dostali lokalizacji. Wśród dokumentów są umowy z kontrahentami, wstępne oczywiście, opiewają na wielkie sumy. Słowem — poważny perspektywiczny interes, a i podatki dla miasta byłyby znaczące. W końcu macha ręką, w kąciach ust pojawia się krzywy uśmiech...

— Widzi pan — mówi — ale zachowajmy to dla siebie. Moja matka mieszka w Puławach, lokal na sklep w Chełmie załatwiła sobie w dwa tygodnie. Coś ponad milion to kosztowało. Ja, mieszkaniec Chełma, chodzę za pomieszczeniem ponad rok i wszędzie mówią, że nie ma szans.

Senator, przejrawszy stos przedłożonych mu papierów, zapisał w swoim notesie „sprawę”, zapewne pod hasłem SZAMPION. Będzie interweniował. Obiecał, że skutecznie, nawet jeśli miał „zawieźć” ją do Warszawy.

Rozmawiamy o etyce katolickiej, przewartościowianiu postaw, poszukiwaniu sensu... Bo chłopak — jak mówi — też mógłby dać w łapę. Był na Zachodzie, stać go. Ale nie chce!

Konkluduję: to dzięki takim ideowcom dorabiają się dziś cwaniacy i hochsztaplerzy. Zanim ty człowieku zdobędziesz swój lokal, spryciarz zdobędzie majątek. Twój kapitał szlag trafi pod buciorami inflacji.

Chłopak wychodzi. Nie wiem, czy uwierzył, że po tej wizycie jego „pachnący interes” ruszy z miejsca.

Eugeniusza Wiłkowskiego, senatora Ziemi Chełmskiej, nauczyciela z zawodu i powołania, rolnika z konieczności, pytam, czy dużo jest takich spraw podczas dyzurów.

— Bardzo dużo. Sporo ludzi z aparatu władzy nie rozumie istoty naszych przemian. My nie jesteśmy jeszcze w stanie panować w stu procentach nad starymi mechanizmami, robimy, co można, ale idzie to czasem opornie. Wiele jest spraw drastycznych, choćby ten młody chłopak. Ludzie nie wierzą w odnowę. Im się wydaje, że my też będziemy „brać”, załatwiać, bo my teraz władza. Ze za łapówkę i tutaj można będzie zdobyć określone dobra. Niewielu jest takich jak ów młody człowiek. Dużo trzeba się nie-raz natrumaczyć, żeby zasiać chociaż jedno „ziarno” nowego, skłonić do refleksji.

Dokończenie na str. 14

10 LAT „AKCENTU”

Mijało dziesięć lat od założenia w Lublinie kwartalnika „Akcent” poświęconego literaturze i sztuce. Bez wątpienia dziesięć lat to przyniosło sukces zespołowi redakcyjnemu. „Akcent” wyróżnia staranna szata graficzna, dbałość o wysoki poziom edytorski, fachowość i niekonwencjonalny dobór tekstów i autorów. Z „Akcentem” współpracowali i współpracują znani naukowcy, pisarze i krytycy. Szczególnie cenne były monograficzne numery kwartalnika, w tym i te poświęcone krasom i kulturze pogranicza. Dzięki temu „Akcent” cieszy się uznaniem czytelników w kraju i dobrą opinią ogólnopolskiej krytyki. Redaktorowi naczelnemu, Bogusławowi Wróblewskiemu, i całemu zespołowi „Akcentu” życzymy następnych dziesięciu udanych lat.

(W)

KTO PADNIE?

Zbigniew Dzięciołek

maszyn i urządzeń tu produkowanych podroziły średnio o 50 procent. Już teraz, mówił dyrektor Raś, zastanawiają się, czy planowane na ten rok 250 tys. wałów i 6 tys. przetrząsaczo-zgrabiarek znajdą nabywcę? Czy nowe mikrociągniki nie odbiją się od bariery cenowej, jak gumowa piłka od śoiary?

Te obawy są jak najbardziej uzasadnione.

Kiedy kilka miesięcy temu rozmawiałem z Józefem Golcem, z-cą dyrektora Wydziału Rolnictwa, Leśnictwa, Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, na temat przydziału ciągników dla chłopów, mój rozmówca rozkładał bezradnie ręce, twierdząc, że z pustego i Salomon nie należe. 8800 rolników, mających powyżej 7 hektarów, czekało w kolejce na upragnione „cztery koła”. Roczne przydziały, wynoszące około 1500 sztuk, dawały szansę otrzymania własnego traktora dopiero po pięciu latach. Co tydzień, w dniu przyjęć interesantów, kilkudziesięciu chłopów dobijało się o przyspieszenie przydziału, twierdząc, że bez ciągnika ani rusz.

Po 1 stycznia sytuacja zmieniła się diametralnie. Gospodarzom odciekło się traktorów z dnia na dzień. Korytarze Wydziału Rolnictwa świecą pustkami. Cenowa gilotyna przecięła marzenia o mechanizacji rolnictwa. Najtańsze ciągniki radzieckie „dobijają” do 15 mln złotych, polski C-330 kosztuje 23 mln, a C-360 prawie 30 mln złotych. Ferguson „przebił” poloneza i trzeba za niego dać powyżej 40 mln zł. Najcięższy C-912 osiągnął cenę prawie 60 mln złotych. Przy 40-procentowej spłacie kredytów w skali miesięcznej nikt nie myśli o pożyczce. Po roku za skredytowanego ferguson trzeba by oddać 220 mln złotych. Który z chłopów pozwoli sobie na taki wydatek?

ZAMKNIĘCIE Z POWODU REFORMY

Jeszcze na koniec grudnia 1988 roku w województwie lubelskim było zarejestrowanych niespełna 20 spółek z o.o. Aże już w dwa lata później funkcjonowało ich prawie 440, żeby w przy końcu 1989 roku osiągnąć liczbę 920. Spółki rosły jak grzyby po deszczu. Założyć spółkę mógł każdy, kto posiadał kapitał zakładowy w wysokości 300 zł. Obowiązująca wysokość kapitału nie zmieniła się do dnia dzisiejszego. Może dlatego nie ma większego zamieszania w „jaskółczym” interesie.

Nowa ustawa o spółkach przewiduje ponoc, że najniższy udział będzie wynosił 10 mln zł, który trzeba by wówczas uzupełnić w ciągu dwóch lat w przypadku spółek już istniejących. Do tego dojdą podatki i zniesienie ulg inwestycyjnych. Jeżeli nie zmniejszy się w lutym oprocentowanie kredytów, to spółki zaczną się prawdopodobnie rozwią-

PARYŻ WIELKIEGO SZOKU

Ciąg dalszy ze str. 1



Sacre' cocur

Kamienica, ósme piętro, kibel na korytarzu. Koszmar za dwa tysiące franków miesięcznie. Nie było mnie stać.

Mieszkałem też w hotelu na Montmartre za sześćdziesiąt franków. Łóżko, lustro, ciekący kran, rura oblepiona prusakami. Na gorze burdel.

Trafiłem do domu dla studentów z Polski. Zebrała się tam cała ta polska atmosfera; prawdziwych studentów może kilku, reszta — ciulacze. Każdy liczy forsy i zarabia na wrzody, oszczędzając na żarciu. Robota, sucha bagietka i wio do wyra. Dzień po dniu.

Szefem domu został młody chłopak. Mówili: Zarobł sobie. Czyścił kibele, jak by to było największą przyjemnością jego życia, podlizywał się, wlaził do dupy bez posmarowania. I wreszcie awansował. Ja miałem zasikany materac, ale kogo to obchodziło! „Płać kaucję, to dostaniesz pościel...” Dużo ludzi z kraju przychodziło do domu. Kierownik upychał ich w sali telewizyjnej na dole, leżeli ciało przy ciele, jak śledzie w beczce, na podłodze. Podłoga kosztowała dziesięć franków za noc.

Kablowanie, podsłuchiwanie rozmów... Byłe się nie dać wykopać z roboty, byle podpieprzyć kogoś, byle utrzymać się na powierzchni. Wyraźnie tam nie pasowałem.

3.

Stałem przed komisją intelektualną. Obejrzeni moje obrazy i dostałem atest artysty. (W Warszawie starałem się o to samo — nie chcieli dać. Powiedzieli, że nie widzą znamion malarstwa.) Mogłem teraz malować i sprzedawać.

Nie miałem zielonego pojęcia o tym, że sztuka rządzi Paryżem. I to jaka sztuka! Paryż jest — jak dawniej — Mekką artystów, ale to nie jest już ten dziki Paryż, Paryż Modiglianego, z dwoma-trzema marszandami skupującymi dzieła, lansującymi gwiazdy... To nie jest Paryż van Gogha, który wierzył, że przyszłe pokolenia artystów będą miały lepiej niż on. To Paryż Wielkiej Sztuki i Wielkiego Biznesu. Paryż wielkiego szoku.

Najlepsze, światowej sławy galerie znajdziesz w dzielnicy Saint Germain, przy Centrum Pompidou i przy Bastylli. W Saint Germain masz malarstwo nowoczesne, bardzo drogie, ale nie nadzwyczajnego. Popłuczyny po Modiglianin, Chagallu, coś w stylu Beksińskiego. Ten wielki szok — w galeriach przy Bastylli, najbardziej prestiżowych. Abstrakcja i nie-abstrakcja, źródła z człowieka, pełny humanizm, prawda, rozmach. Podoba mi się. To zupełnie coś innego.

Drugi szok, jak wchodzisz do takiej galerii i widzisz: betonowa płyta wzięta z chodnika, obok dwie mniejsze. Za półtora miliona franków. Albo drewniane krzeselko... też drogie. Przy każdym z eksponatów — małe czerwone kropki. Znaczą: sprzedane. Można i tak. Nie jest ważne, czy to sztuka, czy kłamstwo. O co chodzi? Artysta ma przekonać innych do siebie całą swoją osobowością. Jeśli przekona, to ludzie go kupią.

I kupują. Bo dzieła sztuki to lokata kapitału, a od obrazu podatki się nie płaci. Dlatego sztuka w Paryżu to największy biznes.

Taki uznany facet, młody, Artur Penk, musi wiedzieć, kto jego dzieło kupuje, bo nie każdemu sprzeda. Może sobie na to pozwolić — jest gwiazdą.

Ciąg dalszy na str. 5

Kochana Telewizjo Nocą...

„Przeżywam dramat. Jestem w areszcie od sześciu miesięcy, a zdaje mi się że od lat. W czerwcu 1987 roku żona moja zginęła w wypadku samochodowym. Pozostało troje dzieci. Dostaje listy od syna, który nosi się z zamiarem samobójstwa. 16-letnia córka uczęszcza do szkoły specjalnej w Lublinie. Natomiast 14-letnia córka jest kaleką od urodzenia. Ma porażenie mózgowie i niedowład kończyn dolnych i górnych. Nie jest w stanie nic przy sobie zrobić. Wymaga stałej opieki. Przecież nie popełniłem aż tak groźnego przestępstwa żebym koniecznie musiał odpowiadać przed sądem z aresztu tymczasowego, ale nie mam żadnej odpowiedzi. Będąc na wolności chciałbym pozatratować wszystkie sprawy związane z rodziną. Proszę o pomoc”...

MIESZKAJA na czwartym piętrze w bloku komunalnym w Kraśniku. Mały pokój zajmuje Bogdan. Wersalka, stary kredens, niewielki stolicek, dwa stołki. Na podłodze stary chodnik. Czysto. Bogdan jest w pracy. Do domu wróci po 15.

W większym pokoju na rozłożonej wersalce leży 14-letnia Iwonka: dziecko-kobieta. Dziecięca buzia o rozbieganych oczach i wąskich ustach, które podczas mówienia układają się w niewielki grymas. Mówi z trudem, ale wyraźnie oddziela poszczególne słowa. Często chichocze zadowolona, widać, z mojej wizyty. Niewspólnie do głowy rozrośnięta klatka piersiowa o wydatnym biuście. Ręce i dłonie z niewielkimi śladami niedowładu są jednak sprawne. Na

Kiedyś Julka zostawiła Iwonę w wózku, w kuchni. Dała jej coś jeść i wyszła. A wtedy wisząca na ścianie szafka nagle się na nią przewróciła. Na szczęście spadła jej na nogi. Może oni chcieli pozbyć się tego dziecka? Straszili ją potem, że to nieżyjąca matka po nią przysłała.

— Kogo Iwonko najbardziej lubisz? — pytam.
— Bogdana — mówi. — A ten tata to poszedł i poszedł...

44-letni Jan P. znany jest funkcjonariuszem MO w Kraśniku. Znają go również w Prokuraturze Rejonowej.

Połowę swojego życia spędził w zakładach karnych — słyszę. — Pierwszego włamania dokonał

MÓWIA, ŻE BÓG

Izabella Wlazłowska

udach — długie szwy pooperacyjne. Małe stopy również pocięte są nożem chirurgicznym.

— Przy porodzie miała zwichnięte stawy — mówi babcia Iwonki. — Operacje nic jednak nie pomogły. W Busku była operowana. Siedzieć nawet nie potrafi. Leży jak kłoda.

— Do lubelskiej kliniki trzeba było jeszcze za-
wieźć — sugeruję.

— Pani, lekarze machnęli już na nią ręką. A przecież ona pełna jest życia. Wsadzić ją trzeba, podmyć, zasypać, bo to już kobieta. Co ten biedny chłopak ma robić? Gdy idzie do pracy, to temu dziecku nawet nie ma kto jeść podać. Sama jestem chora, ale póki co, jeszcze mu trochę pomagam. Dopiero gdy wraca z pracy, to obydwoje sadzamy ją na wózku inwalidzkim. Sama nie dam rady, bo Iwonka waży jakieś 70 kilo. A kiedy Beata przyjeżdża z Lublina, to wtedy kąpią ją w wannie.

— Z ojca rodziny nikt tu nawet nie zajrzy — kontynuuje babcia. — Ani jego matka, ani siostry. Zmarł on z tyfusowej choroby. Co wyszedł z kryminału, to dziecko jej zrobił i znowu poszedł siedzieć. Potem się wściekał, że Bogdan i Iwonka to nie jego dzieci. Beatę tylko uznawał. Córka nerwicy się nabawiła, a później to już razem z nim piła. Awanturowali się, bili.

— Tata bił mamę aż miała dziurę pod okiem — mówi z trudem Iwonka. — Płakałam wtedy i krzyczałam „czego bijesz moją mamę?”

— A ciebie bił? — pytam.

— Tylko raz chciał mnie zbić, ale się nie dałam — chichocze dziewczynka. — Ale Julkę zbił. Miała takie sine pod oczami. Aż szafę rozbili.

— Kiedy ostatni raz wyszedł na wolność — mówi babcia — a było to już po śmierci córki, sprządnął Julkę do domu. Co się tu wyrabiał. Bili się, tłukli, aż wersalka się rozleciała. O, tu stała, pod oknem. I to na oczach dziecka robili. Teraz, jak Beata przyjeżdża z internatu, to musi spać razem z Iwonką. Gdyby była wersalka to i ja bym tu czasami zanożowała i nie musiałam wracać do swojego mieszkania. Chłopak miałby trochę łez. Mógłby gdzie wyjść z domu, do kolegów, do kina.

mając 17 lat. A potem już kolejno: odsiadka, wyjście na wolność, włamanie, kradzież i znowu odsiadka. Niewiele miesięcy pracował. Zawsze można go było spotkać w towarzystwie pijaków, złodziei, degeneratów. Razem z nim popijała i żona. Zginęła potrącona przez samochód. Przechodziła przez jezdnię obok restauracji, w której kupiła piwo. Była kompletnie pijana. Miała 38 lat.

O 21-letnim Bogdanie złego słowa nie usłyszałam. Wszyscy mu współczują, bo na barki nałożono mu ciężar ponad jego siły.

„Jak długo jeszcze wytrzyma? — zastanawiano się. — Czy pójdzie w ślady swoich rodziców?”

Bogdan to drobny, szczupły, niebyt wysoki chłopak.

— Iwonka waży więcej od pana — mówię.

— Tak — uśmiecha się nieśmiało. — Trudno ją dźwignąć na wózek, ale jakoś sobie radzę. Gorzej jest ze sprowadzeniem jej z czwartego piętra. Wyprowadzana jest więc na balkon. Złożyłem wniosek o zamianę mieszkania na parter, ale podobno w Kraśniku nie ma wolnego mieszkania na parterze.

— Z czego wy żyjecie? — pytam.

— Pracuję już trzeci rok. W zakładzie chyba mnie lubią. Ludzie są dla mnie przyjaźni. Zarabiam 190 tysięcy. Obydwie siostry otrzymują rentę po matce w wysokości 170 tysięcy. Z tych pieniędzy opłacam internat Beaty, mieszkanie, świadczenia, ubrania, no i jedzenie.

— Co jecie?

— Chleb, masło, mleko. Sery kupuję. I najczęściej przetwory w słoikach takie jak: gołąbki, gulasz, bo to można zrobić na gorąco. A sos, który zostaje, smaczny jest z chlebem. Kiedy wracam z pracy, idę najpierw do sklepu i robię zakupy. Ale czasami nic nie ma w sklepie. Wtedy zjadamy chleb z mlekiem. Kielbasę kupuję bardzo rzadko, a na mięso brakuje mi już pieniędzy.

LISTY

„My i wy”

Ostatnie wypowiedzi, a także artykuły i informacje zamieszczone w rozmaitych środkach masowego przekazu w sposób decydujący wpłynęły na pogląd wielu ludzi w naszym kraju, że niestety w dalszym ciągu jesteśmy podzieleni na: „my” i „wy”. Podział ten jednak nie dotyczy tym razem władzy i reszty społeczeństwa. Wytworzył się nowy podział: wieś — miasto. Jest to dla mnie osobiste, a także dla wielu innych ludzi, tym boleśniejsze, że zaczął się wytwarzać wyraźny konflikt pomiędzy miastem a wsią, pomiędzy Polakami a Polakami. Łatwo zauważyć, że

iniciatorami i twórcami tego konfliktu stała się właśnie wieś. Jakże przykro czytać bolesne słowa w stylu: „będziemy hodować tyle, ile potrzeba dla naszej rodziny” lub w innym, znanym już swego czasu, stylu „wieś się wyżywi, zobaczymy co zrobią mieszczychy”. Wydaje się, że ta wypowiedź przypomina nam bolesne, sprzed kilku lat „rząd się wyżywi”.

Zaskakującą postawę w tej kwestii zajmują, niestety, niektórzy parlamentarzyści chłopscy, którzy wydają się nie liczyć z interesami całego społeczeństwa, dostrzegając jedynie partykularne potrzeby wsi. Warto tylko przypomnieć, że wielcy przywódcy chłopów polskich (Witos, Mikołajczyk) byli jednocześnie duchowymi przywódcami całego społeczeństwa.

Czy istotnie polskie społeczeństwo, nawet w sytuacji, kiedy zapaliło się wreszcie dla nas, po czterdziestu z górą latach, zielone światło, nie jest w stanie „przekonać” tej gorzkiej, ale uzdrawiającej pigułki, którą jest okresowe obniżenie po-

— 'A babcia nie może zupy ugotować? — pytam.

— Czasami gotuje, ale po południu to i kości w sklepie nie można już dostać. Wie pani, my nie mamy lodówki, aby można było coś więcej ugotować. Stoi w kuchni lodówka, którą ojciec od kogoś kupił, ale jest zepsuta. Był majster. Powiedział, że trzeba zmienić agregat. A na to nie mam pieniędzy. Pralka, taka zwykła, też jest zepsuta, bo raz silnik chodzi, a innym razem coś się zacina. No i kłopot z praniem. A po Iwonce często trzeba pracować. Teraz tak okropnie ceny podskoczyły. Wszystko drogie. Za mieszkanie też trzeba będzie dużo płacić. Ja nie wiem jak my dalej będziemy żyli.

Sama pani widzi, że trzeba by mieszkanie pomalować, bo jest już strasznie zniszczone, ale przecież teraz kosztuje to setki tysięcy złotych. Przydałby się też regał w moim pokoju z chowanym spaniem. Moja wersalka byłaby wtedy dla Beaty. Myślałem, by w godzinach mojej pracy załatwić Iwonkę opiekę siostry PCK, ale babcia, choć stara, powiedziała, że się Iwonką zajmie.

— Nie myślał pan, by oddać siostrę do zakładu i samemu się urządzić? — pytam.

— Chyba bym nie mógł tego zrobić. Iwonka bardzo by płakała. A poza tym matce przyrzekłem, że gdyby się z nią coś stało, to zajmę się Iwonką. I wie pani, w tydzień potem matka zginęła. Miałaby chyba przecucie.

— W Boga pan wierzy? — patrzę na święte obrazy wiszące na ścianie.

JEST MIŁOSIERNY...

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. I wierzę, i nie wierzę. Mówią, że Bóg jest miłosierny. Ale dlaczego mnie tak doświadcza? Może chce mnie wypróbować?

Co roku przychodził do nas starszy ksiądz po koledzie. Zawsze porozmawiał z Iwonką, dał jej cukierka, święty obrazek, którym bardzo się cieszyła, po głowie gładził. W ubiegłym roku przyszedł młody ksiądz. O nic nie pytał, modlitwę odmówił, pokropił, a kiedy wyciągnąłem do niego rękę z kopertą, wziął ją i szybko schował do sutanny. Czy on tylko po to do nas przyszedł?...

W ubiegłym roku Iwonka przystępowała do pierwszej komunii. Zajęły się tym panie z kościoła. Miała białą spódnicę, białą bluzkę i wianek na głowie. Siedziała na wózku inwalidzkim tuż pod ołtarzem, a my staliśmy za nią. Brała komunię na mszy w sobotę. A w niedzielę reszta dzieci przystępowała do komunii. Chyba siedząca na wózku inwalidzkim Iwonka popsułaby im uroczystość.

Przed świętami przyszła do Iwonki pani z kościoła i przyniosła jej paczkę.

— Nikt panu nie ofiarował pomocy? — pytam. — z PCK, PKPS-u??

— Nie. Podobno przychodził tu ktoś z PCK, ale przecież rano ja jestem w pracy. Nawet wózek inwalidzki sam musiałem załatwić, bo w stary Iwonka już się nie mieściła.

— Czy pomoc finansowa lub rzeczowa uraziłaby pana?

— Człubym się trochę upokorzony, ale chyba łatwiej byłoby mi żyć.

— Jak wyobraża pan sobie swoją przyszłość?

— Proszę pani, ja nie wiem.

— Beata jest w Lublinie w szkole specjalnej. Jak tam sobie radzi?

— Ostatnio mam z nią kłopoty. Beata ma już 17 lat, na przyszły rok kończy szkołę. Kiedyś uciekła z internatu, pocięła się żyłką. Jeżdżę na wywiadówki, rozmawiam z wychowawcami. Nie wiem już co mam z nią zrobić. Napisałem list do ojca do

aresztu śledczego w Rzeszowie. I wie pani co mi ojciec odpisał?...

„(...) 10 grudnia 1989 r. Otrzymałem list od Beaty, na którą jestem zły, że nie dał Chryste Panie. Przez tę główniarę ja straciłem wszystkie nerwy. Posłuchaj co ja ci doradzę. Weź ten szeroki pas i parę razy przetrzep jej porządnie skórę. Bardzo możliwe, że wybijesz jej głupoty z głowy. A jeżeli to nie pomoże to wydaje mi się, że będziesz musiał zabrać jej chodź do szkoły. Jak będziesz szedł do pracy to mieszkanie zamykaj na klucz. Niech siedzi w domu i bawi się z Iwonką. Musisz ją do tego przyzwyczaić, że ma się ciebie słuchać i koniec.

Była amnestia. Ale nie dla mnie. Mam takie głupie przecucie, że już nie wyjdę z tego kryminału”.

10 stycznia 1990 roku. W areszcie śledczym w Lublinie otrzymuję zezwolenie na widzenie z Janem P. Siedzimy naprzeciw siebie. Strażnik oddala się.

Barczysty mężczyzna z krótko przystrzyżoną szpakowatą brodą, w przydymionych okularach potakuje kilkakrotnie głową: „tak, tak, to ja pisałem list do Telewizji Nocą. Ale wie pani, wszystko już stracone. Przegrałem. To koniec”.

Poprzedniego dnia w Prokuraturze Rejonowej w Kraśniku pokazano mi postanowienie o wszczęciu dochodzenia w sprawie usiłowania włamania do sklepu nr 20 WPHW w Kraśniku i w sprawie innych przestępstw.

Przeczytałam: „W nocy z 6/7 stycznia 1990 r. RUSW został powiadomiony o dokonaniu włamania. Przybyli na miejsce funkcjonariusze MO zatrzymali w tym sklepie Stanisława R., Waldemara Ch. i Jana P. ...Jan P. zbiegł 4 stycznia 1990 roku podczas konwoju z aresztu śledczego z Rzeszowa do Lublina”... itd.

— Dlaczego pan to zrobił? — pytam.

— Nerwy nie wytrzymały. Konwojowało mnie dwóch milicjantów. Autobus zatrzymał się na dworcu PKS w Kraśniku. Byłem w domu. Chciałem zobaczyć dzieci. No i uciekłem. Ale się ukrywałem, bo w domu pewnie szukała mnie milicja.

— Ma pan aktualnie sprawę w sądzie w Kraśniku za włamanie dokonane w ubiegłym roku. Dojdzie panu ucieczka z konwoju i kolejne włamanie...

— Już mi nic nie pomoże. Ale dziękuję pani.

— Za co mi pan dziękuje?

— No, za to, że po moim liście chciała mi pani pomóc.

— Panu?... — mówię do siebie, bo strażnik razem z Janem P. opuszczają już salę widzeń.

— On to zrobił naumyślnie — mówi cicho Bogdan. — Miał dużą szansę na to, by niedługo wyjść z kryminału. Do tamtego włamania szczerze się przyznał, żałował, a sąd mógłby wziąć pod uwagę naszą sytuację rodzinną. Odsiedział już 10 miesięcy, to i warunkowo mogliby go po sprawie wypuścić. Ale on bał się wracać do domu. Bał się życia, które nam zgotował. Bał się odpowiedzialności.

O ile jest wygodniej, proszę pani, mieć dzień poukładany: o jedzenie się nie martwić, bo dadzą śniadanie, obiad i kolację. Wyprowadzą na spacer. Dadzą książkę, gazetę, przeczytać, telewizję obejrzeć, list napisać. Na przycy można poleżeć i o niczym nie myśleć. Nie pracować. Nie trudzić się. Nie mieć kłopotów. I nie odpowiadać.

dzień miejską, szkoły średnie otwarte są jedynie dla dzieci z miasta itd., itd.

Są to przecież nonsensy.

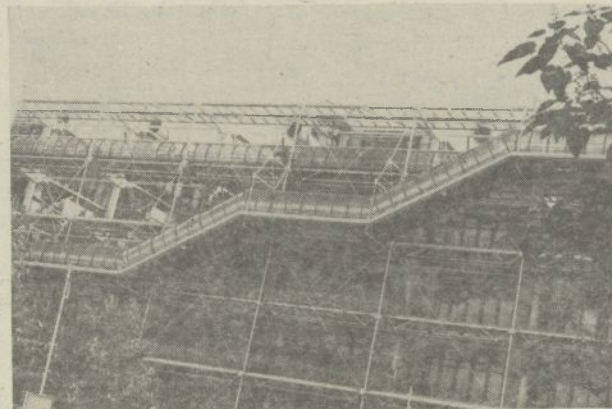
Podobne zjawiska jak na wsi zauważa się także w pewnych grupach pracowników w mieście, np. zapowiedziany strajk taksówkarzy. Ludzie ci przyzwyczajeni zazwyczaj do stosunkowo dobrego poziomu życia, chcieliby za wszelką cenę go zachować (czemu nie należy się zresztą dziwić), więc trudno pogodzić się im z okresowym wyrzeczeniem. Stąd zapowiadane strajki.

Takie postępowanie odbiera nadzieję ludziom, którzy jeszcze wierzą w nasz naród, w naszych ludzi — ludzi miasta i ludzi wsi. Jako Naród — zdaliśmy egzamin, a jako Społeczeństwo?

Tamara Wąskowa
Lublin

PARYŻ WIELKIEGO SZOKU

Ciąg dalszy ze str. 4



Centrum Pompidou.

4.

Jak robić karierę w Paryżu? Nie wiem.

Dziewczyna z Polski, po akademii, ceni swoje obrazy od trzydziestu tysięcy w górę każdy. Mówi, że nie zejdzie z ceny, bo nie może sprzedać taniej, niż wynosi cena kiecki. To takie klasyczne myślenie Polaków: żądać dużo, bo to robi dobre wrażenie. Bzdura. Tworzenie to jedno, biznes to drugie. A jeśli uda się to pożenić, to bon, czemu nie?!

Malowałem nad Sekwaną. Akwarelki dla turystów. Zaczęło się bardzo dobrze. Podchodzi do mnie starsza babka, w dresie, rozczochrana, taka na luzie i każe sobie namalować jacht. Piękny, z żagielkiem. Namalowałem. Za dwie godziny przychodzi, ogląda i mówi, że super. Ile chce? Przez te dresy nie chciałem za dużo wyciągać od baby. „Sześćset” — mówię. Szkoda, że nie zażądałem więcej; ten ekskluzywny jacht był jej własnością, a ona sama dziana jak nic.

Po milionerze sprzedałem jeszcze kilka akwarel, a potem stop. Nawet na chleb nie zarobiłem. Próbowalem jeszcze wciskać ludziom po kawiarniach, za dziesięć franków (paczka papierosów), ale „no, no, merci”. Dno.

Nie masz pieniędzy — nie żyjesz. Trzeba być takim wariatem jak ja, żeby na tym dniu myśleć o marlarstwie. A ja myślałem. Ale żeby malować, trzeba mieć co włożyć do pyska, a żeby mieć, to trzeba pracować. A jak pracujesz, to nie masz ani czasu, ani siły, żeby malować. I zamyka się to pieprzone kółko. Najważniejsze: zachować swoje marzenia — powtarzałem tępo za Modiglianem. Krzys dodawał: „najważniejsze — nie dawać ciała i myśleć o malowaniu”.

5.

Nie dać dupy, czyli nie zeszmacić się. To moja dewiza.

Poszedłem na budowę. Patronem był Polak. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to znaczy. Robiliśmy dach na willi, pracowałem na czubku bez żadnego zabezpieczenia. Zajebista harowa. A patron tylko wychylał łeb od czasu do czasu i krzyczał: „tylko mi, kurwa nie spadnij!” Za dzień (jedenaście godzin bez przerwy) Polacy dostawali 150—250 franków. Francuz dostaliby za to samo o wiele więcej. Skurwysynstwo. Polacy obdzierają Polaków, a Francuzi się śmieją, bo mają tanią siłę roboczą. U innego tachałem worki z cementem, czterdzieści kilo, na piąte piętro. Na trzecim myślałem, że zwymiotuję.

Upokarzasz się, bo musisz. Inaczej zdechniesz z głodu.

Z drugiej strony — nauczyłem się roboty. Zobaczysz moje ręce.

6.

Polacy wierzą, że jakoś im pójdzie na tym Zachodzie. Ze się odgrzyzą. Za tyle energii, ile tu dają z siebie, to w Polsce cholera wie, ile by mieli. Na pewno dobrze.

Są takie zuczki-gnojarki. Toczą te swoje główki kulki, toczą, żeby w końcu kiedyś zmieść jajko. Harują jak woły, głodzą się i ciulają.

Są tacy, jak ten. Pracuje jak mu się chce. Spi na łóżku w butach i spodniach. W nocy też. Prawie każdy facet bez domu tak spi. Na początku dziwisz się: co tu się z człowiekiem porobiło?! Potem sam tak robisz.

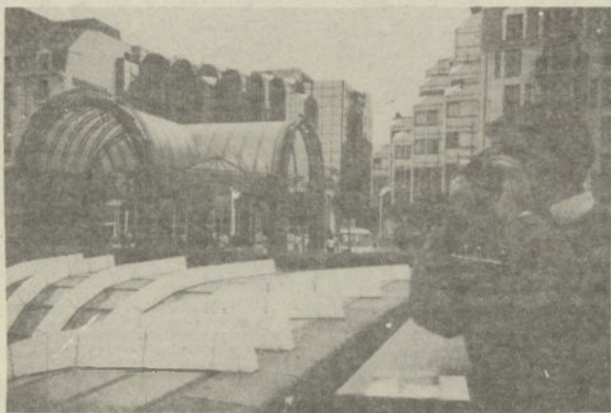
Ciąg dalszy na str. 6

ziomu życia? W sytuacji, gdy tylko spauperyzowana w ostatnich dziesiątkach lat inteligencja będzie skłonna do wyrzeczeń — daleko nie zajdziemy. Potrzebna jest pełna integracja całego Społeczeństwa. Oczekiwać tego należy nie tylko od inteligenta, ale także od robotnika, często bardzo ciężko pracującego, którego żona godzinami wystaje po kawałek „zwyyczajnej” i wreszcie chłopca, którego wyrzeczeniem jest właśnie zrozumienie, że jego ciężka praca, w tych trudnych chwilach dla naszego narodu i naszego rządu, nie może przynosić mu zysków, a tylko umożliwi przetrwanie. Potrafimy bowiem wiele mówić o naszym poświęceniu widząc wokół siebie poświęcających się, natomiast sami chcielibyśmy przejść, za wszelką cenę, po tej kałuży suchą stopą.

Nie wiem, jak zareagowałoby chłopie, gdyby w pewnej chwili miasto powiedziało: leczymy tylko dzieci z miasta, uczelnie przyjmują wyłącznie mło-

PARYŻ WIELKIEGO SZOKU

Ciąg dalszy ze str. 5



Plac przy halach

No więc śpi. Ale nagle — patrzysz — budzi się, siada na łóżku. Przy łóżku stoi pucha z takimi ohydliwymi pierożkami w sosie pomidorowym. Bierze nóż i otwiera tę puchę. Potem bierze łyżkę i wpięprza na zimno. Patrzysz: automat. Potem beka i kładzie się z powrotem. I śpi. Spokojnie, ma azyl. Za parę dni wstaje i idzie popracować. Na dwa, trzy dni. Jak się napracuje, to ma swoje tango. Kupuje papierosy, takie najdłuższe i najdroższe, mnóstwo piwa, jakieś batony. Lubi poczęstować. A jak się upije, to powtarza jak maniak: „Nareszcie jesteśmy na Zachodzie, nie? Naprawdę jesteśmy na Zachodzie...”

Polak jak przyjedzie do Paryża, to na wstępie się dziwi: tyle tutaj tego murzynstwa, arabstwa, fuj. Przez pół roku pracowałem u Araba, roznosiłem ulotki programowe. On nigdy mnie nie oszukał.

Zdarza się, że facet, Polak, mieszka w Paryżu przez pięć lat, a jak umiera, to okazuje się, że nie zostawił nawet złamanego franka na pogrzeb.

Kościół polski na placu Concorde, oblepiony przez Polaków czekających na pracę. Niedziela. Najpierw msza, potem woda. Przenośne kramy z kiełbasą, ogórkami, „żywcem”. Możesz kupić. Od czasu do czasu ktoś komuś da w mordę, albo obłapi z pijacką wylewnością, ktoś sobie rzygnie...

Tu, przed kościołem można przeczytać i takie ogłoszenie: „Młoda Polka przyjmie każdą pracę...” Polka chce się załapać na Francuza. Chłop-Polak zaraz pogoni cię na drugi koniec miasta, bo tam akurat jest tańsza kasza... To nie wchodzi w grę. W grę wchodzi zagraniczne życie. Jak jesteś na dyskotecę, tańczysz z Polką i nawijasz po francusku, to qui-qui, masz plus. A jak wypnie ci się w końcu coś po polsku, to możesz dostać w ryja.

Trochę idzie do pornografii, trochę na ulicę, jest dużo bab, które pozwalają różną się od przodu, od tyłu, jak kto chce, bo za to są franki dla męża i dzieci w kraju. Ça va. Nic się nie stało.

7.

Francuzi. Na przykład bourgeois. Dziecko od razu rodzi się w pieniądzu, jak dorosnie, to nie potrafi mleka zagotować, bo polska albo portugalska służąca to robi. Potem ekskluzywna szkoła. Mamusia w kolii, córeczka w mercedesie, ziewa z nudów. Na przykład funkcjonerzy. Krawacik, czysta koszula, płaszcz niedbale przewieszony przez rękę i — do biura. Dostatnio, ale bez przesady.

Młodzież fajna. Bezpośrednia. „Masz to, na co zasłużyłeś”.

Mają trochę sentymentu do Polaków. Ale granice zamknęli. Żadnych kart.

Są mili, uprzejmi, wysłuchają, pokiwiają głowami. Tak, tak, rozumiem, ale to twój problem. TWOJ PROBLEM. Radź sobie sam.

Na Polaka też za bardzo nie licz. Raz tylko jeden facet, taki zwyczajny robot od układania parkietów, widząc, że nie mam co jeść, dał mi pięćset franków. „Trzymaj, artysta! Widzę, żeś głodny”.

Raz miałem pracę, raz nie.

8.

Nie jadłem dwa dni. Chciało mi się palić. Chciało mi się położyć na ulicy i leżeć. Włoczyłem się. W metrze grała orkiestra symfoniczna. Świetni muzycy. W kraju to byłoby wstyd. „Może tu zadzwonić, może tam — tłukło mi się po głowie. — Może coś się ru...” Najgorsza jest stagnacja, wtedy można zwariować. Jak tak chodzisz i skręca cię z głodu, to myśl-

Dokończenie na str. 7

Między prawdą a nienawiścią

WYJEZDZAMY. Wahadłowy pociąg Bałku — Kijów, który powinien odjechać o 17 z minutami, przyjeżdża z trasy przed północą. Zanim odjedzie musi zatankować wodę, konduktorzy wymieniają pościel — odjazd po 1.00, siedem i pół godziny opóźnienia. Perony zatłoczone, ludzie koczują na asfalcie, na murkach — ławek nie ma. Dzieci śpią na paczkach, podróżnych torbach. Dwaj mężczyźni w czarnych garniturach i czarnych kapeluszach rozkładają bagaże przy murku i, odwróciwszy tyłem do peronu, posilają się; są tak zajęci sobą, że odnoszą wrażenie, jakby cały zgłęb nie istniał nie tylko dla nich, ale i dla przyglądających się im.

Bardzo dużo milicjantów; jutro odbędzie się demonstracja antyormiańska, ludzie obawiają się najgorszego.

— Wszyscy zastanawiają się, czy będą strzelać do demonstrantów — mówi Arif.

Obowiązuje „komendanci czas”: od 22.00 metro będzie zamknięte, godzinę wcześniej nasz przyjaciel wraca do domu. Zostajemy sami. W myślach dziękuję milicjantom, że ich tyle, w obcym mieście, nocą, stanowią dla nas jedyną rękojmnię bezpieczeństwa.

Rankiem w przedziale starsuszek o świdrujących oczach, zwracający się niezmiennie do swojej wnuczki „madam” lub „mademoiselle”, zaczyna opowiadać:

— Kilkanaście lat pracowałem pod ziemią. W latach 1947—51 przebywałem w Estonii. Do lat 50.

Pilnowałem granicy. Niektórzy Estończycy za złoto ładowali się na barkasy i, przez zalew, do Finów. Podpływałem od granicy, żeby nie strzelać do Finlandii, i z działka do barkasów. Potem reflektorem po wodzie — bardzo dobrze widać, kto się rusza i z diegiariewa. Pęcherzyki idą, znaczy, ktoś oddycha, strzelamy. Po 20 minutach jeszcze raz reflektorem, spokojnie, cicho. Opiływamy. Do dziennika zapisywałem: kwadrat taki a taki, to a to.

— Nie próbował pan zatrzymywać, wylawiać?

— A na co mi było? Pisać meldunki, dowodzić, tłumaczyć. Woląłem utopić.

— Osobiście pan aresztował ludzi?

— Sam nie aresztowałem, nikogo, ja tylko kazałem: tego, tego, tego. No, Estończyków sam aresztowałem, tę dziewczynę w mokrej sukience...

Okazało się później, że została pierwszą dojarką kołchozu, otrzymała order za „bolszaj nadój moloka”. To zależy nie tylko od krowy, ale i od człowieka: czy chodzi koło chudoby, lubi ją. Może być mleko, którego krowa nie chce dać, bo nie ma kontaktu zwierzęcia z człowiekiem. Gdybym jej nie wysłał na Sybir, kto dostałby order?

— Nie zastanawiał się pan, że Estonia to nie Rosja, i że Estowie bronili swojego przed Rosjanami?

— Nas tak podgotowali, że nie żalowałimy niczego. To byli wrogowie ludu. Niemcy w czasie wojny nie zabili, człowiek się uchował, dlaczego później jakas gadzina ma strzelać do mnie?

PRZYJECHAŁO

Adam W. Kulik

istniała tam partyzantka, mieli oparcie w chutorach — małe osiedla po dwa, trzy, cztery domki. W Polsce też są?

— Są.

— Żywili ich. Przychodzimy, bunkier jeszcze ciepły, gorące jedzenie na stole, a nikogo nie ma — uciekli podziemnymi korytarzami. Dostajemy rozkaz: o drugiej w nocy spacyfikować wieś. Zabieramy wszystkich, kobiety, dzieci. Samochód już pracuje, a jedna dziewczyna znikła. Gdzie mogła się podziać? Trawa przydeptana wiedzie do wody. Świecę latarką, woda czysta, a ona pod wodą, oddycha przez trzcinę. Wyciągam i do wozu. Sukienka mokra, nie może wleźć — sztudebakery są wysokie, pamięta pan ten typ samochodu?

— Tak.

— Rozeźliłem się. Jak ją wezmę „na nogę”, wrzuciło ją na platformę!

— Dlaczego tak się pan spieszył?

— Pociąg odjeżdżał o określonej godzinie, miałem ich dowieźć na czas.

— Wywziliście wszystkich?

— Wszystkich. Na Syberii miejsca dość.

— Przecież kobiety i dzieci były niewinne.

— A co z nimi robić? Wiesz, jaka ziemia jest w Estonii? Same kamienie. Pójdiesz wieczorem kartofle kopać, połowę koszyka otaczaków przyniesiesz. Same nie dałyby rady utrzymać się na takiej ziemi.

— Pracował pan w milicji?

— Nie, dlatego. W NKWD.

— Ta instytucja miała związek z NKWD?

— To samo, tylko później.

— Ile ludzi wywieźliście z Estonii, kiedy tam pracowaliście?

— Ja wiem o 18 eszelonach. Każdy, powiedzmy, miał 25 wagonów towarowych. Ile osób może zmieścić się w takim wagonie, łatwo obliczyć.

SOLŻENICYN A POLSKA

PO deportacji na Zachód (13 lutego 1974) Aleksander Solżenicyn wypowiedział się wielokrotnie przed mikrofonami radiowymi, kamerami telewizyjnymi, wobec prasy i studentów różnych uniwersytetów. Jego sądy zawsze wywoływały żywą reakcję. Wyrażał też poglądy na temat działalności trzech rosyjskich Kościołów ortodoksyjnych za granicą, poddając je krytyce. Domagał się, ogólnie rzecz biorąc, od tych Kościołów połączenia z patriarchatem moskiewskim. Reakcje jednak były inne, niż spodziewał się Solżenicyn. Najbardziej wierni przyjaciele i protektorzy pisarza, jak np. Nikita Struwe i ojciec Alexander Scheman zajęli otwarcie przeciwstawną postawę.

Polskich czytelników z pewnością zainteresuje odpowiedź udzielona wydawanemu w Paryżu polskiemu czasopiśmie „Kultura” (z 27 października 1978 roku) na pytanie: „Co Pan może powiedzieć o wyborze Papieża-Polaka i jakie są oczekiwania chrześcijan w naszych krajach związane z tym

wyborem?” (jako oryginał przyjmuje tekst zawarty w: A. Solżenicyn: „Sobranije soczinienij”; Vermont-Paryż 1983, t. 10, s. 352). Oto ta odpowiedź:

„W większej części szczęśliwego świata chrześcijaństwo przeżywa osłabienie, w innych miejscach — zubożenie. Ludzie Zachodu w większości utracili poczucie rozmachu życia i jego istoty. Ten rozmach i tę istotę wniesie do Kościoła katolickiego, mam nadzieję, nowy Papież z duchowo niezłomnej Polski, który dźwignął się poprzez przesławanie chrześcijaństwa u siebie w ojczyźnie. Wraz z katolikami krajów wschodnioeuropejskich my, Rosjanie, głęboko cieszymy się z tego wyboru. Wierzymy, że pomoże on we wzmocnieniu naszej wspólnej wiary chrześcijańskiej w całym świecie — a tylko ona właśnie dzisiaj może uratować ludzkość.

Polakom zaś pragnę szczególnie pogratulować.

Aleksander Solżenicyn”

W latach 50., na Ukrainie za podobne pisanie zamknęli Ostapa Wisznia, konkretnie za satyryczne, humorystyczne pamflety i opowiadania. Jak mogło podobać się wyśmiewanie urzędników, podrywanie partyjnego autorytetu? Wyszedł — jak większość — w czasie chruszczowskiej amnestii. Wisznia interesował mnie z tego powodu, że jego teksty w porównaniu z językiem rosyjskim brzmiały bardzo śmiesznie.

— Podobno Wysockiemu pomogli umrzeć?

— On miał trudny charakter, wszędzie mordę nadstawiał. Oczywiście za prawdę, ale charakter miał taki, że nie odpuszczał niczego, pakował się w konfliktowe sytuacje, stąd między innymi częste kłopoty z milicją — przymykali go. Dużo i często pił. W jego pieśniach więzienie, żułki — podoba mi się jego pieśń:

i stąpi ty mnie bańku po czernomomu
ja od białego świata odwyk
ugorju ja i mnie ugorielommu
par gariaczij razwiazet jazyk

To prawdziwe myśli. Mnie nie przyszłoby do głowy, nie potrafiłbym ich wypowiedzieć.

rozkazu kak bołoto my stopili
nadrywajas w taskie biez syrca
i nad siercem kolola my profill
szto by on slyszal kak bijutsa sierca

NKWD, ZABRALI...

On — to Stalin, winien całemu złu, jakie spotkało więźniów, chociaż oni wierzyli, że nie jest winien. Ich uczono, mnie też, że to dobry człowiek, nasz ukochany wódz. Ilu ludzi płakało, kiedy umarł. Na mauzoleum Lenina zawsze stał z wyciągniętą ręką podczas prazdników.

Kiedy Jakowa, jego starszego syna Niemcy wzięli do niewoli i chcieli wymienić na marszałka Paulusa, nie zgodził się. My, oficerowie, dziwiłiśmy się: postąpił jak zwierzę. Pierwszą żonę zabił — była komunistką ze starej, leninowskiej gwardii, kiedy powiedziała mu, że wyjawia wszystko, że nie chce żyć z takim człowiekiem, użył siły. Oczywiście lekarze wypisali odpowiednio świadectwo, nawet jej własne dzieci — Jakcw i Wasyl nie wiedzieli, że ją zabił. Zmarła na zawał serca, ot i wszystko. Ci, którzy mogliby coś powiedzieć, też znikli. U nas jest taka praktyka: żywy człowiek może coś powiedzieć, martwy nigdy. Wiedziela, że Stalin postępuje nie według leninowskich zasad. Przecież Lenin, kiedy już źle się czuł, napisał, żeby Stalin nie został po nim gensekiem.

— Bali się ludzie za Stalina?

— Bali. Ot Iwana Iwanowicza nie ma. Kto? Gdzie? Cicho! Nocą! Przyjechał NKWD, zabrali. Widać, miał za co. A zaczniesz chodzić, pytać, patrzeć — już i ciebie wiozą.

— Pan się bał?

— Z początku nic nie wiedziałem, potem pomału, pomału... Pomyślałem, lepiej nie leżeć, gdzie nie trzeba.

— Jakie pan miał kwalifikacje?

— Kończyłem leningradzką szkołę oficerów marynarki. Chodziło się z krótkim, szerokim palaszem. Uczono nas nawet tańczyć mazura, w rączki całować.

Mazura w białych rękawiczkach! Wpierw byłem oficerem marynarki, specjalność radiotechnika, elektronika. Zona jest felczerem.

— Zapewne nowemu ustrojowi zawdzięcza pan wszystko?

— Pochodzę po matce, ze starej, bojarskiej rodziny Borysów. Nikt z mężczyzn już nie żyje, starsi umarli, młodszy poległ w czasie wojny światowej. Moja babka zabierała mnie na spacer i pokazywała reszki napisów na murach domów: „Obuwnicze sklepy Onufrijewych” — to był mój pradziad. Prócz nazwiska nic nie pozostało.

— Nie prześladował pana za pochodzenie?

— Nigdy. Dlaczego?

— Z rodziny nikogo nie zabrali?

— Siedziało trzech. Jeden trafił w 39. do łagru, blisko domu. Urządził się — pracował jako modelarz sapażnik, robił dobre buty naczelnikowi. Tamten lubił go, puszczał na przepustki do domu na niedzielę.

Drugi dostał się do niewoli niemieckiej, wstąpił do armii Własowa. Nie zabił go ani jeden, ani drugi, (po wojnie odsiedział za niewolę i Własowa 25 lat — wszystko odsiedział) Urządził się tak, że nic go nie ruszyło, komary nie zjadły. Zona w tym czasie wyszła po raz drugi za mąż, potem umarła.

Trzeci brat był szpiegiem na tyłach niemieckich, dostał dwa razy order Lenina, świetnie znał niemiecki, mówił biegle w różnych dialektach.

Widzicie: jeden u Własowa, drugi na tyłach pracuje dla Rosji. Oczywiście cała rodzina odcięta się od

„własowca” — to nie nasz syn, nasz syn umarł, my od niego odkazujemy się!

— I nigdy pan nie miał żadnych wątpliwości?

— Mnie przez 30 lat uczono tak, a nie inaczej: w państwie nie może być jak chcesz, ale jak trzeba. Nie mogłem postępować inaczej.

— Naukowców też wsadzano.

— W 1952 roku w jednym z obozów zobaczyłem znanego akademika, profesora matematyki. Był już dochodziągą, to znaczy zbierał odpadki, pomyje w stolówce. Aresztowali go w 41.

Przyjeżdżam, pokazują mi:

— Profesor!

— Jaki profesor?

— Akademik taki a taki. Zbiera pomyje.

Nazwisko miał niemiecko-żydowskie, nie trzeba wymieniać, dzieci jego żyją. Charakterystyczne, semickie rysy, nos, zwięzająca się czaszka. Byłem odpowiedzialny za ochronę tego obozu.

W 1947 r. posadzili Achmatową — pisała wiersze „nie po ciemnie”. Wszystkie gazety powinny były pisać na urra! Ona, jako redaktor naczelny literackiego pisma „Czerwona gwiazda” publikowała, co chciała. Po wyjściu wyjechała z ZSRR i nie wróciła.

— Nie uwierzę, że nie mieliście wątpliwości.

— Czasami przychodzili: aresztowali — on partyjny, ona też na wysokim stanowisku. Chodził sąsiad, dziadek Misza, raptem nie ma go. Przyjechało KGB czy NKWD i kto tam wie? Potem już wróg nie mówił wróg narodu...

— Znal pan Berię, Stalina?

— Oczywiście. Znałem ich wszystkich.

(Koniec odcinka 10. — cnd.)

„DO STRAJKUJĄCYCH ROBOTNIKÓW POLSKICH”

Telegram, 20 sierpnia 1980

„Jestem zachwycony waszym duchem i godnością. Dajcie wzniósł przykład wszystkim narodom ciemiężonym przez komunistów.

Wasz

Aleksander Solżenicyn”

„O GROŹBIE DLA POLSKI”

4 grudnia 1980

„Krwawi wyznawcy Lenina nadal upierają się przy swoim nieziszczalnym marzeniu ujarzmienia świata — nie biorąc pod uwagę ile narodów obcych i swoich będzie zmiażdżonych i zhańbionych w tej krwawej jatce.

W te dni serce zniewolonego narodu rosyjskiego jest razem z polskim.

Aleksander Solżenicyn”

Wybór, słowo wstępne i przekład:

Jan Władysław Trochimuk

Aleksander Isajewicz Solżenicyn odważnie wypowiedział się także na temat najżywoźniejszych dla Polaków kwestii. O stosunku tego noblisty do spraw polskich wspominałem w seryjnej publikacji biograficznej pt. „Solżenicyn” na łamach Tygodnika Wschodniego „Relacje” (czerwiec 1989 rok).

Tym razem chciałbym przywołać nie sformułowania czy oceny dotyczące Polski, ale dokumenty bezpośrednio dotyczące polskich spraw i ważnych wydarzeń w naszym kraju.

Nie jest powszechnie wiadomo, że ten wielki pisarz i wielki Rosjanin-banita (mieszka w USA) przesłał polskim robotnikom specjalny telegram (z 20 sierpnia 1980 roku), który — być może — nie dotarł do nich, ale został włączony do dzieła zebranych Solżenicyna, podobnie jak Oświadczenie skierowane do światowej opinii publicznej „O groźbie dla Polski” (z 4 grudnia 1980 roku). Oświadczenie przestrzegało przed ewentualną, zewnętrzą interwencją w Polsce i jej następstwami. Dokumenty te są zamieszczone w: A. Solżenicyn, „Sobranije soczinienij”, Vermont-Paryż 1983, t. 10, („Do strajkujących polskich robotników” — s. 393; „O groźbie dla Polski” — s. 395).

PARYŻ WIELKIEGO SZOKU

Dokończenie ze str. 6

liz, że tego to już nie przeżyjesz Nieprawda. Jutro może być jeszcze gorzej. Jeszcze raz dostaniesz w łeb i padniesz. Podnieść musisz się sam. SAM. Jak to zrobisz, to twoja wielkie szczęście.

9.

Powiedz, że po roku nie powinienem być głodny. Powiniennem mieć konto. O.K. Ale ja nie potrafię, jak ten skarabeusz... Paryż mnie porywa, to jest coś takiego jak z gąbką, co wciąga wodę... Mam forszę, to idę oglądać miasto. Pięć wino w barze, rozmawiam ze znajomymi, o malarstwie, muzyce. Lubię nad ranem pogadać z dziewczynkami. Są zmęczone, nawijają o swoim trudzie, dowcipkują. Wiek — od piętnastki do siedemdziesiątki. Miejsce pracy — Saint Denis, Lasek Buloński. Widziałem piękne, młode ulicznice po dziesiątym kliencie... Żal patrzeć. Widziałem na Pigalu facetów, co udają kobiety. Wypchane biusty, ażurowe pończoszki, któremuś przekrzywiła się peruka i odstania baczki...

To jest Paryż.

10.

Znów spróbowałem z galerią. Taka nieduża, może sto metrów od Pompidou. Facet przyjął mnie uprzejmie. Obejrzał dossier. Uśmiech. Spodobało mu się. Ale nie ma teraz właściciela, proszę jutro... Następnego dnia: proszę przynieść obrazy, wystawimy. I wystawił. Na wernisazu jakaś babka zaproponowała mi udział w bardzo prestiżowej imprezie „Młodzi na temat Rewolucji Francuskiej”. Przyjąłem zaproszenie. Ale nie zrobiłem nic. Nie miałem na bieżąco, farby. Cholernie drogie. Sprzedałem trzy obrazy i wycofałem się z galerii. Nieważne. Szukałem dalej znów zaczynając od zera. Potem miałem wystawę w klubie jazzowym na Montparnasse. I w Domu Portugalskim, razem z trzema Polakami i Portugalczykiem. Udało się. Trochę sprzedałem. Takie śmieszne obrazki na teksturach.

11.

Krzysiu udało się! Aż trzy galerie rywalizowały o jego obrazy. Pamiętam zdziwienie marszanda, który przyszedł do pracowni Krzysia, żeby podpisać z nim kontrakt. Wielkie słowo — pracownia! Coś w rodzaju komórki, tyle że z kamienia, dwa metry na trzy. Płótna (najtańsza juta kupowana w Murzynów) przybite do ścian. Marszand nie mógł utrzymać długopisu w ręce, bo tak mu zmarzła i zaraz potem wynajął Krzysiu atelier, sześćset metrów kwadratowych. Mieszkamy tam razem. Cieszę się z jego sukcesu.

U mnie też lepiej. Galeria jest zainteresowana. Warunek: duża ilość prac w dużym formacie plus rysunki.

Najważniejsze, żeby zachować swoje marzenia, prawda Modigliani?

12.

Wiesz, co to sen emigracyjny? Sni ci się, że jesteś w Polsce i przeżywasz koszmar, bo nie możesz wyjechać do Francji. Męczysz się okropnie... Na szczęście to mija. Budzisz się. Otwierasz oczy: to jest Paryż. Ça va? Ça va.

Ewa Czerwińska



Luwr.

Fot. Jacek Gurbiel

10 stycznia 1990 roku w Telewizyjnej Panoramy Lubelskiej pokazany został program redaktora Wacława Białego poświęcony cenzurze. Jednym z bohaterów tego programu był Kazimierz Pawelek, który — pośród wielu odpowiedzi na wiele pytań — odpowiedział też na pytanie o ostatnią ingerencję cenzury w jego teksty. Wynikało z tej odpowiedzi, że ostatnia ingerencja urzędu cenzorskiego polegała na zdjęciu tekstu pt. „Moje życie z cenzurą”.

Dziennikarski elementarz zaleca, by informacja odpowiadała na kilka pytań, z których trzy — KTO?, CO?, GDZIE? — są szczególnie ważne. Brak odpowiedzi na te pytania powoduje, że informacja jest albo niepełna, albo paskudnie zmanipulowana. Red. K. Pawelek powiedział „kto” (cenzura) i zdążył powiedzieć „co” („Moje życie z cenzurą”), ale nie mógł powiedzieć „gdzie”, bo poszły w ruch nożyce (znamy się na tyle na montażu, żeby wiedzieć, że nożyce to były, a nie np. amnezja (K. Pawelka)).

Uzupełniamy więc: tekst pt. „Moje życie z cenzurą” miał się ukazać w 14. numerze „Relacji” z ubiegłego roku, ale decyzją urzędu cenzorskiego został „zdjęty”. Nie było to dla nas nadzwyczajne wydarzenie, bo zdejmowano nam wówczas sporo tekstów, a ingerowano w teksty raczej często.

W związku z programem red. W. Białego postanowiliśmy próbę (zdejmy — nie zdejmą?) ponowić i spodziewamy się, że przy okazji dowiemy się może, kto ocenzurował i przez to paskudnie zmanipulował wypowiedź red. K. Pawelka: on sam, cenzor, któryś z redaktorów Panoramy czy może red. W. Białe.

Sprawa to o tyle ważna, że w kwietniu 1989 roku wiedzieliśmy, kto nas okalecza, choć nie zawsze wiedzieliśmy dlaczego, natomiast w styczniu 1990 roku nie wiemy ani kto, ani się domyślamy dlaczego.

Red.

— Na fall demokratyzacji dyskutuje się dziś o wszystkim. Czy możemy porozmawiać o cenzurze, która w twojej karierze satyryka odegrała znaczącą rolę?

— Porozmawiać możemy, ale opublikować, to się okaże, kiedy tekst trafi na biurko cenzora, który go będzie czytał przed skierowaniem do druku. To po pierwsze. Po drugie, cenzura odgrywa w mojej działalności rolę nadal. Po trzecie, nie nazywałbym tej działalności karierą, bo cóż to za kariera. Myślę jednak, że skoro o cenzurze rozmawiało się przy okrągłym podstoliku i to szło nawet w telewizji, to może i nam pójdzie. Zresztą stolik, przy którym siedzimy, też jest okrągły, co zaznaczam na początku i wyraźnie, żeby nie było niedomówień.

— Od czego zaczęliśmy?

— Chciałbym zadekretować wszystkim, którzy mnie cenzurowali, cenzurują i będą cenzurować, ten utwór:

„Kochano cenzuro,
niech Ci Bóg zapłaci,
że zdejmując wszystko,
nie zdejmąś mi gaci!”

Powód mego gestu przyjaźni jest szczery, bowiem cenzurze zawdzięczam wiele. Gdyby nie ona, nie osiągnąłbym pozycji, jaką mam.

— Nie przesadziasz?

— Skądże! Cenzorzy rozslawili mnie po świecie. Było to w latach siedemdziesiątych. Uciekł na Zachód cenzor z Krakowa i zabrał z sobą walizkę ingerencji, które potem opublikował w „Czarnej księdze cenzury PRL” (Londyn, 1978). W tym dziele roi się od moich zdjętych tekstów, które potem wykonywało Radio Wolna Europa, nie placąc mi tantiem. Nosilem się z zamiarem pozwania cenzury przed sąd, jako że jej funkcjonariusz brał udział w tym przywłaszczeniu praw autorskich, ale ostatecznie odstąpiłem, zwyczajnie, co im zawdzięczam.

No bo jak nie dziękować za następujący tekst w biuletynie GUKPPIW nr 2 z 1974 roku: „Niepokojącym zjawiskiem jest wysoka liczba ingerencji w programach kabaretowo-estradowych. W zatrzymanych utworach przedstawiono w karykaturalny sposób poszczególne dziedziny życia, wychodząc z założenia, że wszelkie zmiany w Polsce są w praktyce iluzoryczne. W tekstach tych przeważa zgorzknienie i zjadliwa kpina. Rysuje się w nich obraz Polski bezideowej, skorumpowanej, Polski klik i układów, drętowych hasel i pustostoiwa. Szczególny niepokój budziły programy kabaretów „Kaktus” i „Milkstura” z „Lublina z tekstami Kazimierza Pawelka”.

Utrwalając mnie w literaturze jako demontera „państwa idealnego lat 70.”, oddano mi wielką przysługę. Czy mogłem się gniewać?

— O swych dobroczynnych pamiętałeś także przy okazji srebrnych godów kabaretu „Czart”...

— Zapraszając na estradę wszystkich, którym „Czart” coś zawdzięczał, nie zapominałem o cenzorze Janie Du-

MOJE ŻYCIE Z CENZURĄ

Rozmowa kontrolowana z Kazimierzem Pawelkiem - satyrykiem

dzie, dziękując mu za lata owocnej współpracy. Zachował się jak prawdziwy gentleman. Wyszedł na estradę, pogratulował nam i nawet dał się z zespołem „Czarta” sfotografować. To zdjęcie poszło zresztą w „Kurierze Lubelskim” i „Sztandarze Ludu”. Nie wiem, czy to nie jest w ogóle jedyne w polskiej prasie zdjęcie cenzora z tymi, którym zdejmował. Chciałbym jeszcze dodać, że Jan Duda jest prawdziwym zawodowcem w swoim fachu, co mówię bez żadnego kontekstu. Jego profesjonalizm polega na tym, że jego ingerencje są zawsze inteligentne, czyli takie, że obaj wiemy, o co chodzi, i rozumiemy się bez słów...

— ... jak przyjaciel i przyjacielem?

— Żebyś wiedział! Czasem zdarzają się takie ingerencje, że w ogóle nie wiesz, co jest grane, bo rozumem nie ogarniesz. Zresztą skoro już o zawodowstwie, to cenzorzy zawodowi są mniej groźni od cenzorów-amatorów. Ci amatorzy chcą być bardziej wnikliwi i robią swoje ingerencje, gdzie zawodowi by ich nie zrobili. Aktywność amatorów rośnie w miarę nadchodzenia czasu zjazdów, plenów, obrad, wizyt itd. Uważają oni, że ludzie czytają między wierszami, podczas gdy to oni tak czytają. Takimi amatorami czasami wyręczają się zawodowi. Cenzor-amator z Wydziału Kultury UW w Lublinie zdmiał mi kiedyś cały program kabaretowy pt. „To się nie mieści w pale”, bo był to czas — jak mu się pewnie wydawało — specjalnej troski o każdą palę. Zresztą od tego czasu zauważyłem szczególny przypływ uczuć tego amatora w stosunku do mojej osoby. Na mój widok od razu biegnie do mnie z wyciągniętymi rękami. Szczere chłopisko!

— Pamiętajmy o wesołych momentach, bo się robi smutno jakby.

— Nie zapomnę do końca życia „Satyrykonu '83” w Legnicy, gdzie „Czart” pokazywał program „Rozmowa kontrolowana”. Był to — przypomnę — program o telefonach miejskich, w których miły damski głosił powtarzał tytuł naszego programu (poznałem zresztą tę panią później, na defiladzie). Był w nim tekst o najazdach na Polskę, w tym fragment: „Najeżdżali nas również Mongołowie, którzy doszli aż pod Legnicę, gdzie zostali rozbici przez Henryka Pobożnego i jego Północną Grupę Wojsk”. W Lublinie nikt się nawet nie uśmiechnął, słysząc te słowa. Natomiast w Legnicy publika zgotowała nam kilkuninutową owację i żądała bisów. Po przedstawieniu przyszedł do mnie cenzor i poprosił o zmianę ocenzurowanego przeciw tekstu. Chodziło o przymiotnik „północna”. Wydałem stosowną dyspozycję aktorowi, który na następnym przedstawieniu powiedział: „...zostali rozbici przez Henryka Pobożnego i jego Południową Grupę Wojsk”. Tym

razem owacja trwała chyba trzy razy dłużej. Po tym występie załamany cenzor prosił o powrót do wersji pierwotnej, bo były przecież jeszcze dwie strony świata, co budziło jego uzasadniony niepokój. Ten przykład pokazuje, że diabeł nie zawsze jest tam, gdzie się go można spodziewać.

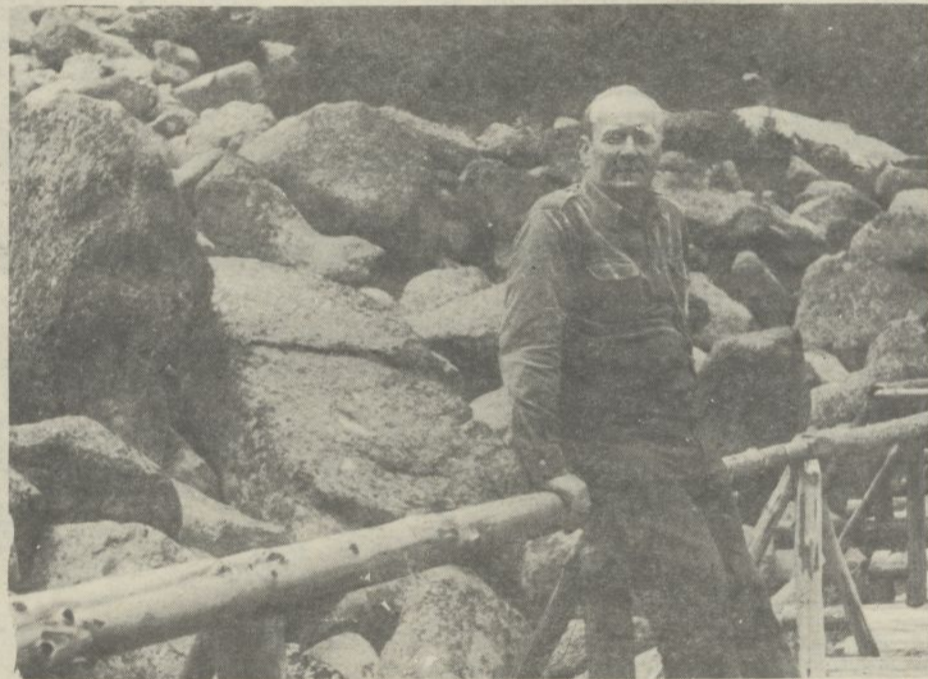
— No, chyba szart? Może jakie jeszcze momenty...

— W latach siedemdziesiątych byłem kierownikiem literackim zespołu „Desant”. Przygotowaliśmy program z tekstami poetki Ewy Lipskiej do muzyki greckiej. W czasie wstępnej prezentacji szczególnie podobala się piosenka „W zielonym mundurze, w zielonym maju”. Cenzor pogratulował mi i zapytał o kompozytora tego udanego utworu. Odpowiedziałem, że jest to grecka muzyka ludowa, a on... złapał się za głowę. „Natychniał wycofać!” — zawołał. Gdy ogłupiały spytałem dlaczego, usłyszałem: „Przecież Grecja należy do wrogiego paktu! Gdyby to była Bułgaria, to bym puścił...” Zresztą nie trzeba mu się dziwić. Znam przypadek, gdy jeden z cenzorów sam zdmiał fragment swoich pamiętników

stano naturalnie gońca. Była to pani Władzia, kobieta gołębiego serca, ale niepiśmienna. Pokwitowała odbiór zdjętych tekstów trzema krzyżkami. Wtedy zrozumiałem, że ten ma władzę, kto ma pieczęć, nawet gdy stoją za nią trzy krzyżyki.

— Pisujesz również felietony do „Kuriera Lubelskiego”. Czy bywały i tu ingerencje?

— Oczywiście. W czasie emisji serialu „Niewolnica Isaura” napisał do nas czytelnik, który twierdził, iż rozszyfrował znaczenie filmu. Było ono następujące: „Ten serial brazylijski to nasza obecna tragiczna rzeczywistość, a niewolnica Isaura — to dzisiejsza Polska. Matka Leoncia swą postawą reprezentuje państwa Europy Zachodniej z Ameryką na czele. Szlachetna pani Malwina to nasza Polska Klasa Robotnicza. Brat pani Malwiny swym zaangażowaniem, w sprawie uwolnienia Isaury (Polski) reprezentuje całe nasze polskie chrześcijaństwo. Ojciec Malwiny to nasza obecna bezpartyjna inteligencja. Pan Tobiasz to „Solidarność” z Wałęsą na czele. Ojciec Isaury to nasze całe katolickie duchowieństwo



Kazimierz Pawelek wśród kamyków wrzuconych do jego ogródka przez cenzurę.

Fot. Jan Trembecki

drukowanych w „Głosie Budowlanych”. Chodziło o lata pięćdziesiąte i budowę Nowej Huty.

— Czy prowadziłeś rejestr twoich zdjętych tekstów?

— Nie prowadzę. Dałoby się z nich jednak skompletować niezłą biblioteczkę. Szczególną aktywność wykazał tu jeden z cenzorów, który obecnie jest współpracownikiem BBC, ale już jako autor. Na Zachodzie (w RFN) mieszka zresztą trójka lubelskich ex-cenzorów. Wracając do BBC, ich obecny współpracownik zdmiał mi kiedyś tekst o dezercerze z LWP, który w 1944 roku udał się do lasu, potem się nawrócił, zgłosił do UB, gdzie go przesłuchano i zatrudniono. Najciekawsza była przyczyna zdjęcia. Nie chodziło tu ani o dezercję, ani o UB, tylko o to, że zbliżała się rocznica bitwy pod Lenino (za dwa miesiące).

— Czy zawsze dowiadywałeś się, dlaczego ci zdejmują?

— Z tym było różnie. Na ogół musiałem wykazać inicjatywę badawczą, aby się czegoś dowiedzieć. Pamiętam swój pierwszy pobyt w cenzurze. Nie był przyjemny. Cenzor, który przyjął teksty, nie chciał mi ich oddać, co motywował tym, że nie jestem pracownikiem firmy wystawiającej program. Autorstwo nie miało żadnego znaczenia. Zażądał przyścia pracownika z pieczęcią w dowodzie osobistym. Wy-

wraz z papieżem Janem Pawłem II. I wreszcie Januaria to nasze Radio Wolna Europa”.

Zacytowałem ten fragment w felietonie, bo dobrze oddawał, do czego może prowadzić oglądanie wybranych pozycji telewizyjnej zachowania zasad BHP. Czytelnik-telewidz wykazał pewne bardzo charakterystyczne odchylenia psychiczne, i to wydało mi się groźne. No więc felieton poszedł do składu. Cenzor nie był pewien, czy to może pójść, i zatelefonował do szefa, ale ten również nie był przekonany. Zadzwoniono do centralnej cenzury, ale tam również decyzji nie było. Obiecali naradzić się i odtelefonować. Istotnie, nad ranem dostaliśmy telefon, że felieton nie może na razie iść, bo wszystko jest zbyt świeże. Może później, jak ludzie zapomną o serialu. Być może nadszedł już ten czas.

Całkiem niedawno w świątecznym „Kurierze Lubelskim” cenzor zdmiał fragment felietonu muzycznego o piosenkarzach amerykańskich (La Toya Jackson i Stevie Wonder). Ponieważ nikt w redakcji nie mógł zrozumieć powodów czy też gustów muzycznych zdejmującego, napisałem felieton „Cenzura czuwa”, w którym poprosiłem o publiczne wyluszczenie racji. W odpowiedzi felieton został zdjęty. Nadal więc nie wiem, dlaczego na ulicy Okopowej nie lubią Stevie Wondera. Nie podejrzewam, iż dlatego, że jest Murzynem...

— Jan Pietruś opowiadał kiedyś w swoim skoczku (na estradzie), że w różnych okresach cenzury nie podobały się różne nazwy własne, w tym także imiona. Potwierdził?

— Potwierdzam. W latach siedemdziesiątych nie używano się imienia Edward, a zwłaszcza jego zdrobnień. Po 1976 roku wyleciał z programu skoczki kończący się: „Jakie palisz? — »Radomskie!«. Do połowy lat 80. nie można było używać w programach imion staro-cerkiewno-słowiańskich. Pamiętam, jak kiedyś cenzor pozmięniał mi Grisza i Sasza na angielskie. Co z tego wyszło, prezentuję niżej:

„Potem Harry dostał smary, bo walonek nie zdjął z nóg i w kufajce wszedł na tańce, a z nim Michel, jego druh”.

Nie muszę opowiadać, jak reagowała publiczność. Znacznie lepiej, niż by było przy imionach rosyjskich. Takich przypadków nie zamierzono „wyostrzenia” tekstu przez cenzorów miałem więcej.

Wracając do czasów niedawnych, w 1984 roku z piosenki musiało zniknąć imię „Albinek”, które cenzor proponował zastąpić każdym innym, ale jak zaproponowałem, to się jeszcze bardziej strwożył.

— Czy można mówić o swobodnym rytorializmie w pracy cenzury? O tym, że coś może przejść w jednym mieście, a w drugim — nie?

— Tak. Przy czym lubelska cenzura uchodzi za najbardziej rygorystyczną w kraju. Ma opinię, że po niej się nie „poprawia”. Stanowi dla kolegów z innych miast coś w rodzaju „wzorca metra” z Sevres pod Paryżem.

— Mówiąc o swoich bojach z cenzurą, zachowujesz humor, uśmiech. Odnoszę wrażenie, że nie traktujesz cenzorów jako wrogów. Czy się mylę?

— Nie mylisz się. Odbieram cenzurę jako instytucję potrzebną i pożyteczną w tym sensie, że w zasadzie jej obecność w moim życiu znacznie ogranicza moją autocenzurę. Być może, gdyby nie było cenzury, moje teksty byłyby mniej śmieszne i mniej odważne. Nie jest wykluczone, że może w ogóle przestałbym być satyrykiem. Oczywiście nie traktuję kolegów-cenzorów jako moich wrogów. Łączy mnie z nimi ten specjalny rodzaj więzi, jaki łączy powiedzmy ligowych piłkarzy. Oni grają przeciw sobie, ale po meczu podają sobie ręce. Po gwizdku sędziego wszystko się kończy. Poza tym chciałbym zauważyć, że niektóre wyniki naszych meczy zostały zweryfikowane. Na przykład wszystkie teksty zamieszczone w „Czarnej księdze” mogą być obecnie wykonywane. I są.

— I tym optymistycznym akcentem...

— Chwileczkę! Na koniec to ja bym chciał podkreślić ponadczasowy charakter moich kontaktów z cenzurą. Moje dotychczasowe życie upływające mi z cenzurą pozwala przypuszczać, że także po śmierci kontakty zostaną zachowane. Napisałem więc zawczasu „woje epitafium”:

„Tu leży satyryk.
Zapamiętaj sobie,
bo lubelska cenzura
zdejęła mu nagrobek”.

— Nie mogę odmówić sobie jeszcze jednego pytania. Czy przypuszczasz, że rozmowa, którą właśnie kończymy, będzie mogła ukazać się drukiem?

— Ponieważ przy okazji „okrągłego stołu” usłyszałem, że cenzura w Polsce nie jest działalnością odbywającą się poza wszelką kontrolą społeczną, a podobno jedną z funkcji prasy jest taka właśnie rola kontrolna, mogę domniemywać, że moje wyznania nie naruszają ani bezpieczeństwa PRL, ani sojuszy, ani nie nawołujące do przestępstwa, nie będące także obrażającymi religijnych, ani pornografią — mogą zostać upublicznione w ramach jawności życia i tej kontroli. Skoro nie naruszają, może je ktoś przeczyta.

— Dziękuję.

— A, nie, nie. Cała przyjemność po mojej stronie.

Rozmawiał:

Waldemar Piasecki

Ukazać zjawisko, wstrząsnąć sumieniami

„TELEWIZJA NOCĄ”

Rozmowa z Januszem Wszytko, autorem programów dla „Telewizji nocą”

„TELEWIZJA NOCĄ”. Charakterystyczny zwiastun tego programu ściąga przed ekrany ponad dwudziestomilionową widownię. Audycja o ludzkim nieszczęściu, samotności i krzywdzie ma najwyższą — po programie „997”, a przed przeglądem telewizji satelitarnych „Blżej świata” — tzw. oglądalność pośród wszystkich programów publicystycznych. Dystansuje nawet wieczorne „Wiadomości”.

O fenomenie „Telewizji nocą” rozmawiamy z jednym ze współrealizatorów tego programu, znanym dziennikarzem lubelskiej RTV, Januszem Wszytko.

— Skąd się wziął pomysł tego programu?

— Sama idea przyszła do głowy telewizyjnemu menedżerowi za którego uważam Józefa Węgrzyna, dyrektora II programu TVP. Sądzę, że pewną inspiracją mógł być podobny program realizowany przez telewizję amerykańską. Konkretny kształt przybrała ta audycja w gronie osób, którymi kierował Andrzej Dziedzic, szef działu publicystyki II programu, znany gdański reporter, od pewnego czasu „na garnuszkę” w Warszawie. Do dziś jest on redaktorem odpowiedzialnym tego programu, który zaczął się ukazywać z końcem 1988 roku.

Niewątpliwie inspiracją dla „Telewizji nocą” były też listy przychodzące na Woronicza, z którymi coś trzeba było zrobić, bo nie sposób było je „obslużyć” kilkoma reportażami. Podstawowym założeniem, jakie przyjęto, było pokazać ludzką sprawę, wobec której inni są obojętni, odwrócić. Uświadomienie ludziom tego na przykład, że nie każdy leżący na ulicy musi być pijakiem. Bo przecież może być także cukrzykiem... Formuła programu jest zawężona: konkretna sprawa i moralna ocena sprawy przez prowadzących program. Audycję prowadził początkowo psycholog, Andrzej Komorowski; później — Halina Miroszowa i Aleksander Małachowski. Ja pojawiłem się jako realizator, wcześniej wiosną 1989 roku i od tego czasu zrobiłem około setki programów. Dołączyłem — wraz z kilkoma kolegami z ośrodków regionalnych TV — do ekipy wspaniałych dziennikarzy, tworzonej przez Dariusza Króla, Barbarę Paciorekowską, Barbarę Pawłowską, Tomasza Polskiego, wcześniej — Tadeusza Sztanderskiego.

— Czy mógłbyś nieco uchylić drzwi do kuchni „Telewizji nocą”? Czy sądzisz, że trzeba mieć jakieś specjalne predyspozycje do pracy przy tym programie.

— Obowiązuje ostra selekcja materiału, nie ma mowy o żadnej kontabulacji, o nadawaniu relacji nie sprawdzonych. Robimy ten program z bardzo dużym poczuciem odpowiedzialności zdając sobie sprawę, jak łatwo rzucić kamieniem i jak celnie można ugodzić przy tak wielkiej widowni. Zgoda, że czasami nawet niektóre rzeczy przejawskrawiamy, nieco dramatyzujemy, ale po to jedynie, by ukazać zjawisko, wstrząsnąć sumieniami. Co charakterystyczne, to ogromna życzliwość ludzi realizujących ten program — oni zaczynają żyć życiem osób, o których opowiadamy. I to jest wzruszające, gdy operatorzy, oświetleniowcy, kierownicy, stare chłopcy ocierają ukradkiem oczy... Predyspozycje? Myślę, że potrzebna jest odporność psychiczna, ten ogrom nieszczęścia potrafi przytłaczać. Potrzebna jest chęć pomocy innym i niewątpliwie umiejętność słuchania ludzi.

— Macie rzeczywiście ogromną widownię. Wspominałeś kiedyś, że w niektóre dni przychodzi 2—3 tysiące listów, a po programach, na Woronicza,

w hallu budynku pojawiają się tłumy ludzi. Nie sądzisz, że ta popularność programu jest miarą nieomówienia i błędy w naszym kraju?

— Absolutnie tak! To jest ogrom nieomówienia i rozpacz, o których się na co dzień nie mówi, nie widzi i nie myśli. Po listach, telefonach i reakcjach widać dokładnie, co niszczy nasze społeczeństwo. Po pierwsze — wódka! Olbrzymia większość listów zaczyna się od „Kochana Pani Halino, Szanowny Panie Aleksandrze!” dotyczy właśnie wódki, pijactwa, alkoholizmu, wódki, wódki, wódki... Piszą zrozpaczone, bezradne tony, matki, niestety także i mężowie.

Po drugie: tak łatwo usprawiedliwiamy własną obojętność wobec innych, ich krzywdy i biedy — bo kłopoty dnia codziennego, bo kolejki, bo małe zarobki. To wszystko prawda, mamy je, dokuczają nam, tylko dlaczego tak łatwo i szybko stajemy się egoistyczni i samolubni, czasem okrutni? Te wielkie domy w wielkich miastach... W moim wiewoku jest 66 mieszkań — klątek dla anonimowych ludzi. A tam często rozgrywa się prawdziwe dramaty, na które przysmykamy oczy, zatykamy uszy. Tak łatwo się godzimy, że to nie nasza sprawa. Szlachetniejemy dopiero wobec wielkich nieszczęść, jak Armenia czy Rumunia i wtedy okazuje się, że stać nas na porwy serca. Nie stać nas za to na codzienną ludzką solidarność, zgubiliśmy gdzieś tak piękne pojęcie miłosierdzia...

— Widać, Janusz, jaki obraz społeczeństwa utrwała od się w kontakcie z rzeczywistością, którą ukazujesz na ekranie?

— Niejednokrotnie się nad tym zastanawiałem i nie mam jednoznacznego osądu. Mówiłem już, że mamy chyba wpasany w psychikę narodową odruch serca, stać nas na szlachetne porwy, ale jesteśmy społeczeństwem, do którego o pomoc trzeba się swracać. Polacy lubią i chcą pomagać, lecz sami — tak jak matka Teresa z Kalkuty nie szukają potrzebujących. Dlatego robimy ten program, żeby ludziom uświadomić potrzebę pomocy, czasem tylko współczucia i podtrzymania na duchu; dlatego, że człowiekowi trzeba pokazać dramat drugiego człowieka w jego realnym wymiarze. Paplanina o patologii, i że w ogóle źle się dzieje, do nikogo nie przemawia. Co innego wiedzieć, co innego — widzieć. I reagować wcześniej. Ludzie przecież nie są źli z natury.

— Jaki jest przekrój społeczny piszących listy do „Telewizji nocą”? Występują jakieś statystyczne prawidłowości?

— Piszą ludzie głównie z małych miasteczek i ze wsi. Wieś to w ogóle obszar jeszcze przez nas mało spenetrowany. Na ogół ludzie ze średnim wykształceniem. Piszą samotne matki, samotni ludzie, ludzie dotknięci przez los. Zaskoczeniem jest coraz większa liczba listów od dzieci, nieraz drugo-trzecioklasistów. I to są czasem wstrząsające historie. Pokazywałem kiedyś dramat małego chłopca chorego na raka, którego ojciec wyrzucił z domu przed Wigilią, wraz z matką i siostrą. Straszne! Po programie zadzwonił do mnie człowiek z Wrocławia i powiada, że ma dla tego Krzysia preparat Tołpy, jemu już niepotrzebny, bo dziecko zmarło. On ten preparat przesłał. I to też jest przyczynek do rozważań na

temat, jacy jesteśmy. Myślę, że ludzie, którzy sami przeżyli tragedię, łatwiej rozumieją innych. Pokazywałam, w programie czerwoną osierocioną braci; jeden z nich siedział w więzieniu, bardzo chciał wyjść zająć się rodzicielstwem. Reakcja widzów przeszła wszelkie oczekiwania: dostali masę pieniędzy, paczek, ludzie przyjeżdżali w odwiedziny...

Kiedyś znów dostałem z podlubelskiej wioski prosty, zwyczajny list od 22-letniej dziewczyny, wychowującej dziecko siostry, chore na porażenie mózgowie. Pisała mniej więcej tak: „To już nieważne, że ze mnie we wsi się śmieją, że ja nie mam czasu dla chłopaka, a chciałabym żyć jak normalna dziewczyna, ale najgorsze, że ja temu dziecku nie mogę pomóc. Może byście pomogli mi się dostać do jakiegoś przedszkola, gdzie by miało opiekę, a ja bym tam pracowała. Bo ja nie chcę się z nim rozstać, ja je pokochałam”. To dziecko nie śladło. Bało się innych dzieci, nie opuszczało praktycznie rąk dziewczyny.

Po programie odezwała się pielęgniarka z Krakowa, zaprosiła Marzenę z dzieckiem i załatwiła jej przyjęcie u jednej z najlepszych specjalistek w Polsce. A potem, z kolei, zadzwoniła ta lekarka błagając o niepodawanie adresu, bo zjawiły się tłumy ludzi, którym nie zawsze była w stanie pomóc i dać nadzieję. Mówię o tym po to, żeby uzmysłowić, po pierwsze, ludzką życzliwość, ale także to, jak łatwo zbudować nam niebezpieczną kładkę od rozpacz do nadziei i z powrotem. Dlatego wspominałem o ostrożności i odpowiedzialności.

— A sprawa, która szczególnie zapadła ci w pamięć?

— Ze wsi chełmskiej. Czwórka dzieci zostaje nagle całkowicie osierociona. Matka — wracająca z przysięgi syna — ginie w katastrofie wraz z jego narzeczoną. Zostaje żołnierz i starsza siostra, bez męża, z dzieckiem chorym na gruźlicę. Zostaje spłachetk ziemni przy lesie. Żołnierz, zwolniony do cywila, czuje się odpowiedzialny za śmierć matki i dziewczyny, chce popełnić samobójstwo. Nocami ktoś straszy sieroty, łomocze łańcuchami, groza... To mną wstrząsnęło. Pokazałem ich w programie, pragnąc pomóc, na ile można. Napłynęły paczki, pieniądze, trzej mieszkańcy Lublina wzięli ode mnie adres, prosząc zresztą o anonimowość. Gmina przydzieliła mieszkanie w szkole, ciepły suchy kąpiel. Coś się udało zrobić, coś załatwić ludzkiego, to wielka satysfakcja.

— Czym jest dla ciebie ten program? Po 24 latach pracy w zawodzie?

— Bez żadnej przesady mogę powiedzieć, że przygodą mojego życia. Łagodzi niedostatki codziennej egzystencji, również zawodowej. Robi mi się lżej na duszy, mimo że czasami jestem bezradny. I mam dylematy moralne. Przychodzą tysiące listów, za nimi kryją się żywi ludzie, a ja mogę pokazać tylko fragment tej ciemnej strony naszego życia. Denerwuje mnie, męczy obojętność, znieczulica instytucji — wydawałoby się — odpowiedzialnych za wiele ludzkich spraw: urzędów, samorządów, Kościoła. Są urzędnicy, których chętnie bym udusił. Dlaczego Kościół nie chce często wkraczać, udając, że nie tragicznego się nie dzieje? Mimo ewangelicznej miłości bliźniego? Czy sam dekalog może zarządzić zło?

Cieszę mnie, że wiele naszych słodów podjęła prasa, często nas wyręczając. Sporo pism prowadzi już własne rubryki „Telewizja nocą”.

— Dołączają do nich także „Relacje”, przy tobie, mam nadzieję, wespółudziale. Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał: Leszek Wiśniewski

Na to, co dzieje się obecnie w naszej gospodarce, tzw. „przeciętny obywatel” patrzy nieco przerażony. Sądzę, że przeraża go nie tyle to, że jego stopa życiowa — jak na razie — ulega obniżeniu. Myślę, iż bardziej społecznie frustrujące jest to, że z dnia na dzień zmieniają się funkcjonujące od lat — a więc wydawałoby się stabilne — reguły gry ekonomicznej.

NIE dość, że gwałtownie rosną ceny, wyracając do góry nogami utrwalone przez długi czas relacje, to jeszcze ten sam towar u różnych sprzedawców ma różne ceny. Dobra i usługi, które otrzymywało się (co prawda z trudem) za darmo lub półdarmo, nagle zaczynają kosztować. Na innych zasadach funkcjonuje system oszczędnościowo-kredytowy, co sprawia, że jasna i jednoznaczna zasada (opłaca się pożyczać i nie opłaca się oszczędzać) przestaje obowiązywać, a za prostą — do tej pory — decyzją (np. spłacać kredyty mieszkaniowy ratami czy też spłacić go jednorazowo) kryje się ryzyko milionowego zysku lub straty. Co więcej, nie działa także „żelazna reguła dochodów” (dobrze zarabiają promieniści i prywatni, wszyscy pozostali mało, choć za to „po równo”). Nawet ostatnia deska ratunku, jaką było kupno dolarów — ostatnia fajtlapa mogła na tym zarobić — zawiodła.

Logiczne jest, że w takiej sytuacji ludzie rozpaczliwie poszukują rozmaitych sposobów racjonalizacji dziejących się wydarzeń. Pytają, czy wprowadzane zmiany się powiodą, czy po ich zakończeniu będzie się żyło lepiej. Zastanawiają się także, czy są one konieczne, domagają się złagodzenia niektórych ich niedogodności. W istocie tęsknią chwilami za „starymi, dobrymi czasami”, w których jak było tak było, ale mieszkania, kolonie, przedszkola były bezpłatne, ser chudy kosztował 10 zł za kilogram, a w pracy — byle nie podpaść politycznie — nikt się specjalnie człowieka nie czepiał.

Ogólna, czy też ogólnikowa, odpowiedź na powyższe pytania dać jest łatwo. To, czy reformy się powiodą, zależy w istocie od społeczeństwa. Po prostu od tego, czy je zaaprobuje. W dłuższym bowiem okresie zawsze jest tak, jak chcą tego ludzie. W sensie ekonomicznym zmiany powieść się (jeżeli nie będąc protestów) muszą. Polegają one bowiem na wprowadzeniu rachunku i przymusu ekonomicznego do wszystkich dziedzin życia, a jest oczywiste, że gospodarka oparta na rachunku musi być bardziej efektywna od tej, która lekceważy prawa ekonomiczne. Nie oznacza to jednak, że za rok czy dwa stopa życiowa w Polsce może być porównywalna do tej, którą cieszą się kraje zachodniej Europy. Na swój standard pracowały bowiem one ciężko przez długi czas i przez wiele lat skazani jesteśmy na to, że będziemy wobec nich biednym kopciuszkami.

Drugim negatywnym aspektem potencjalnego gospodarczego sukcesu jest to, iż przymus ekonomiczny to naprawdę nie przyjemne. To ciągła harówka i ganieńce, żeby zarobić więcej pieniędzy, których siedzący w kieszeni waz nie pozwala spokojnie wydać. Na dodatek zaś system rynkowy wprowadzie gwarantuje — po latach — wszystkim wyższy poziom życia, ale nie wszystkim w tym samym stopniu i nie wszystkim w tym samym czasie. A już najgorsze, że ci, którzy na wolnej grze ekonomicznej wygrywają najwięcej, to niekoniecznie osoby najsympatyczniejsze, najuczciwsze czy najbardziej godne uwielbienia. Tak to już jest. I trudno. System gospodarki rynkowej ma swoje liczne wady. Ma, niestety, także jedną zaletę. Nikt nie wymyślił niczego bardziej sprawnego.

Tragedia polega na tym, iż wyboru w rzeczywistości nie ma. Nie ma powodu do ciepłki realnego socjalizmu. Ten system, gwałcący konsekwentnie wszystkie ekonomiczne prawidłowości i tworzący permanentny stan tzw. „woluntaryzmu”, czyli po prostu ekonomicznego bezprawia, wyczerpał swoje rezerwy. Ażeby cokolwiek — posłusznym obywatelom — dać, trzeba najpierw to coś mieć. Socjalizm zaś, poprzez swoje antyekonomiczne zasady, po pewnym czasie (gdy wyczerpią się możliwości zaboru od rodzimych krwiopijców, przyrody i zachodnich kapitalistów) nic do dawania już nie ma.

Dlatego odpowiedź na pytanie, czy dolegliwości gospodarki rynkowej są konieczne, musi być twierdząca. Z kolei odpowiedź na pytanie o to, czy nie można by stworzyć czegoś trzeciego, co poeniłoby zalety rynku i socjalizmu, musi być negatywna. Połączyć można jedynie wady obydwu tych systemów, acz nie ich zalety. Jest na to prosty empiryczny dowód. Nie ma w świecie kraju o „trzeciej drodze”. Są tylko kraje biedne i bogate.

O tym, co będzie, zdecydować ludzie. Wiem, że będą narzekali, albowiem narzekają zawsze i wszędzie (w Szwajcarii także). Istotną będzie społeczna suma strat i korzyści, która zdecyduje o ich postępowaniu podczas wyborów, o tym, czy będą strajkować, i o tym, czy ewentualne strajki opinia społeczna poprze. Nie zamierzam tutaj robić reklamy programowi premiera Leszka Balcerowicza ani namawiać do zaprzobowania wyrzeczeń. Powtórzę tu, co powiedziałem o tym programie, na tychże lamach, miesiąc temu (na wszelki wypadek podpierając się Pismem Świętym) — „po słowach ich poznacie”. A dla każdego jest — myślę — oczywiste, iż na ewentualne owoce trzeba poczekać. Ważne wydaje się natomiast, abyśmy umysłowo sobie zasadnicze grzechy gospodarki socjalistycznej. Zasadnicze momenty, w których prawa ekonomiczne były brutalnie łamane. Ważne jest to dlatego, że grzechy te — jak to zwykle grzechy — przez czas pewien były dla nas dość przyjemne.

GOSPODARKI SOCJALISTYCZNEJ GRZECH PIERWSZY: „Naszym celem

jest maksymalne zaspokojenie potrzeb”.

Jeżeli zastanawiałbym się nad tym, co jest najpierwszym prawem ekonomii (kto odpowiedział, iż prawo koniecznej zgodności sił wytwórczych ze stosunkami produkcji, niech odda dyplom — legitymację może zachować — i zapisze się na licznie organizowane ostatnio kursy podstaw, niekoniecznie politycznej ekonomii), to muszę uznać za nie regułę, iż zysk jest najlepszym miernikiem efektywności gospodarczej. A zatem gospodarka osiąga stan najpełniejszego wykorzystania swoich możliwości wtedy, gdy wszystkie podmioty dążą do maksymalizacji swoich korzyści.

Przypuszczam, że są dwa powody, dla których niektórzy z nas bronią się przed uznaniem powyższego za oczywistość. Pierwszy to łatwość, z jaką producenci i sprzedawcy, znajdujący się w sytuacji uprzywilejowanej, mogą powiększać swoje zyski i marże. Drugi to wielka atrakcyjność hasła „maksymalne zaspokojenie potrzeb”. Jest ono bardzo ładne i czyste moralnie. Ma tylko tę jedną wadę, iż nie rozstrzyga o tym, kto będzie decydował, jakie są moje i innych potrzeby (a więc jego przyjęcie oznacza zgodę na ekonomiczne — i nie tylko — zniewolenie), oraz skąd będzie brał środki na zaspokojenie tych potrzeb (w świetle całości wywodów, a także dotychczasowego doświadczenia, dość oczywiste jest, iż musi to być niewola niezbyt bogata).

Ale po kolei. Nienormalne, spekulacyjne zyski możliwe są tylko w sytuacji niedoboru. Po jego likwidacji (choćby brutalną metodą redukcji nadwyż-

kowego popytu) możliwości takie się kończą i sprzedawca może osiągnąć zysk jedynie wtedy, gdy znajdzie nabywcę, który — płacąc — potwierdzi, iż dane „coś” rzeczywiście jest mu potrzebne. A pojawiające się gdzieś tam (w każdej gospodarce) wysokie zyski nadzwyczajne mają tę pozytywną właściwość, iż przyciągają — każdy chce dużo zarobić — konkurencję.

Relację „zysk — zaspokojenie potrzeb” dobrze ilustruje następująca (klnę się, iż autentyczna) anegdota. Przed kilku laty w USA spotkało się podczas pobytu na stypendium trzech polskich naukowców. Dwóch normalnych i trzeci wierzący w wyższość idei. Jak łatwo się domyślać, dwaj pierwsi niesłychanie dokuczali trzeciemu. Ten zaś bronił się, wygrzebując z resztek mózgu następującą kalkę propagandową. „No dobrze — mówił — jest tu dobrobyt, ale wszystko to robione jest z myślą o zysku. A u nas wszystko robi się, żeby zaspokoić potrzeby człowieka”. Po którejś takiej odpowiedzi spotkał się z następującą ripostą: „To pokaż nam choć jedną niezaspokojoną potrzebę, a zostaniemy tutaj i w bardzo krótkim czasie zrobimy miliony”. Zabawa trwała dość długo. Niedowiarek (choćby jeśli chodzi o marksizm-leninizm, to on był wierzący) przejechał się na słońcu (a co, jest słoń w ZOO, stare nieszkodliwe bydło i tak musi spacerować, to dlaczego za parę dolarów ma nie ponosić na grzbiecie frajera), pomalował i zandulował sobie włosy (nie tylko na głowie — a to się żona musiała zdziwić) oraz przekonał się, iż firma dekoratorska gotowa jest ustawić mu na trawniku przed domem — z okazji Święta Pracy — śnieżnego bałwana z dowolnym przybraaniem. No, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dwóch wybitnych naukowców do Polski powróciło.

GOSPODARKI SOCJALISTYCZNEJ GRZECH DRUGI: „Cena jest pieniężnym wyrazem wartości”.

Jako tako wyedukowany na uczelniach byłego Peerelu magister zapytany, co to jest cena, odpowiedział jak z nut, że: „cena to pieniężny przejaw wartości”. Milknął, speszony nieco, dopiero wtedy, gdy zapytała się go, czy widział wartość?

Nie miejsce tutaj na polemikę z dziwną teorią pewnego pana z Trewiru. Nie sposób jednak nie zauważyć, iż zaważyła ona istotnie na praktyce gospodarowania na wschód od Łaby. Rozumowanie zakładające bowiem, że istnieje zgola metafizyczny byt (skrzep abstrakcyjnej pracy produkcyjnej) tkwiący w każdym towarze, miało daleko idące konsekwencje.

Primo, sugerowało, iż wszystko da się wycenić bez korzystania z pieniędzy za pomocą jednostek „czasu społecznie niezbędnego”. Secundo, uaktadato, iż taką wycenę da się sporządzić arbitralnie w jakimś (najlepiej politycznym) biurze państwowym, bez pomocy rynku, czyli niezależnie od relacji popytu i podaży. Tertio, koncepcja ta bardzo boleśnie zdewastowała świadomość ekonomiczną ludzi. Przekotani są oni, iż cena powinna być równa „uzasadnionym” kosztom produkcji, powiększonym o pewien marżut zysku. Trudniej już znacznie jest im spostrzec, że przy takiej zasadzie cenotwórczej producentom najbardziej opłaca się produkować drogo, ciężko i niedbale (nie ważne, czy to ktokolwiek kupi — ważne, iż ponie-

sione zostały wysokie koszty). A bez tego spostrzeżenia racjonalizować trzeba otaczającą nas rzeczywistość, posługując się terminami „ceny nadmiernej”, „spekulacji” itd.

Otóż powiedzieć trzeba tutaj jasno i wyraźnie, iż rynek i gospodarka rynkowa nie zna takich pojęć. Cena w normalnej — a nie księżycowej — gospodarce wyznaczana jest przez względną rzadkość dóbr, czyli przez stosunek podaży do istniejącego popytu. A zatem nie istnieje cena nadmierna (jeżeli sprzedawca jakkolwiek cenę może podnieść, znaczy to, że dawno już powinien to zrobić), istnieć może co najwyżej cena zbyt niska.

Jest to moment, w którym „normalny” obywatel buntuje się przeciwko logice rynku. Wysuwa on w tym miejscu dwa (pozornie rozsądne) argumenty: że w takiej sytuacji sprzedawca podnosić będzie ceny w nieskończoność, że w szczególności postępować będzie tak w sytuacji monopolistycznej oraz że przy wyższych cenach obywatela może nie być stać na zakup danego dobra.

W argumentacie pierwszym tkwi racjonalne jądro tylko wtedy, jeżeli przyjmijemy nieracjonalne (choć dla socjalizmu prawdziwe) założenie, iż dotacjami będzie się pokrywać deficyt przedsiębiorstw, chroniąc je przed bankructwem. W przeciwnym przypadku producent — pod groźbą bankructwa właśnie — nie może sobie pozwolić na to, aby posiadanych towarów nie sprzedać. A zatem może podnosić cenę tylko do takiej wysokości, przy której przyrost utargu związany z wyższą ceną jest większy od ubytku utargu w związku ze zmniejszeniem ilości sprzedawanych produktów.

KONIEC EKONOMICZNEGO CZYLI GRZECHY GOSPODARKI

Michał Zieliński

Sytuacja taka, jaka miała miejsce w początkach stycznia w Warszawie, gdzie ceny wszystkich książek — jak leci, z zalegającymi od lat cegłami — Dom Książki podniósł o połowę, jest dla normalnie funkcjonującej firmy samobójstwem (i mam nadzieję, że będzie — tak przynajmniej wnoszę z wypowiedzi jednej z Pań Kierownik warszawskich księgarń, która 5 stycznia z dumą i radością oświadczyła w telewizji, iż w dniu przed zmianą cen sprzedała książek za 6 mln, a dzień po zmianie za 4 mln złotych).

Jest oczywiste, że silna konkurencja sprzedawców może okazjonalnie zepchnąć ceny poniżej określonego wyżej punktu (zwanego w ekonomii punktem Cournot'a). Są na to tylko dwie rady. Monopole można usunąć poprzez otwarcie gospodarki i konkurencję ze strony dóbr importowanych oraz tzw. „free entry”, to jest zasadę zezwalającą każdemu na podejmowanie dowolnej produkcji.

Argument drugi („nie będzie mnie stać”) jest po prostu demagogiczny i odpowiedzieć należy na niego słowami: „no to trudno”. Nie ma bowiem takiego prawa, na którego mocy wszystkich musi być na wszystko stać. Jest oczywiste, że w każdym społeczeństwie są ludzie biedni i w najróżniejszych względach potrzebujący pomocy. W cywilizowanym kraju takim ludziom się pomaga. Pomoc ta jednak musi być organizowana tak, że poprzez system podatkowy bogatsi składają się na dodatkowe dochody biedniejszych.

Dotowanie cen jest metodą o tyle gorszą, iż pomaga się w ten sposób zarówno biednym, jak i bogatym. Pamiętać też trzeba o tym, że jeżeli upieramy się, aby jakieś towary miały cenę niższą od ceny równowagi rynkowej, to nie tylko sprawiamy, iż pojawia się niedobór tych produktów, ale również powoduje, iż nie wydane na nie pieniądze przenoszą się na inne rynki, gdzie zaczynają się pojawiać kolejki i zaczyna brakować towarów, a nie wydane tam pieniądze przenoszą się z kolei dalej...

I TAK DOCHODZIMY DO GOSPODARKI SOCJALISTYCZNEJ GRZECHU TRZECIEGO: „Państwo dopłaca do...”

Po wielokroć już obśmiewałem prymitywny slogan propagandowy głoszący, iż państwo dopłaca do każdego obywatela („żyj krócej — ripostował popularny przed laty dowcip — do ciebie państwo też dokłada”). Logiczne i proste — jak konstrukcja cepa jest to, że w rzeczywistości musi być odwrotnie. Państwo nie ma innych pieniędzy jak tylko te, które wcześniej zabrało od obywateli. W rzeczywistości zatem nie państwo dopłaca do obywateli, tylko obywatele dopłacają sami do siebie czy też, mówiąc inaczej, poprzez jawne albo inflacyjne podatki finansują jakąś postać konsumpcji zbiorowej.

Czy zawsze robią to świadomie i czy zawsze są to wydatki najbardziej potrzebne? Nie sądzę. Jeżeli pracownicy jakiegoś zakładu składają się, aby finansować działalność kilku fanatyków w przystawionym klubie hodowców kanarków czy też mieszkańcy miasta utrzymują teatr, do którego pies a kulawą nogą nie chce chodzić, nie widzą w tym nic dobrego. Sądzę również, że i ludzie, gdyby mieli świadomość tego, że to oni za to płacą, też nie byłiby zadowoleni.

Slogan „państwo dopłaca...” jest dowodem na złamanie prawa ekonomicznego, które nazwać można „prawem kosztu”. Głosi ono następującą oczywistość — niczego nie ma za darmo, wszystko kosztuje i jeżeli ktoś z czegoś korzysta bez opłaty, oznacza to jedynie, iż płacą za niego inni.

„Prawo kosztu” łamane jest zarówno w stosunku do środków konsumpcji, jak i środków produkcji.

W przypadku pierwszym bezpośrednia szkodliwość tego antyeconomizmu jest mniejsza. Jest w końcu kwestią konwencji i umowy społecznej to, czy, na przykład, dzieci w szkole będą otrzymywać obiady za darmo, czy też będą płacić normalną ich cenę, a za to rodzice więcej zarabiają. W wielu krajach (nie tylko komunistycznych) w przypadku wielu dóbr przyjęty jest wariant pierwszy. Można i tak. Ma on swoje zalety (zapewnia pewne minimum korzystania z niektórych dóbr i usług) i swoje wady (ograniczona jest swoboda wyboru konsumenta i mniejsza jest racjonalność konsumpcji dóbr, za które się nie płaci).

Zasadnicza jest jednak kwestia mechanizmu finansowania spożycia z funduszy społecznych. Musi ona mieć taką postać, w której obywatele mają świadomość, iż to z ich portfeli płaci się za ową „społeczną” konsumpcję. Spopularyzowane ostatnio szwedzkie powiedzonko: „Nie depcz moich podatków”, jakim traktuje się osobników chodzących po trawnikach, jest najlepszym przykładem takiej świadomości.

I przykład odwrotny. Polski. Pokazujący dewastację myślenia ekonomicznego, jakie pojawia się w sytuacji „państwo dopłaca do...” W poniedziałek, 8 stycz-

Nie mogę natomiast zamilczeć na temat „własności ogólnospołecznej”. Jest to najzwyczajsze *contradictio in adiecto*, pojęcie wewnętrznie sprzeczne. Coś może być jedynie czyjeś. Właściciel może być lub może go nie być. Nie może być tak, aby właścicielem byli wszyscy. Być właścicielem oznacza bowiem posiadać prawa własności. A owe rozliczne prawa sprowadzić można do trzech: prawa decydowania, prawa czerpania korzyści i prawa utraty własności w przypadku bankructwa. A całe społeczeństwo zbankrutować nie może (choć po czterdziestu pięciu latach gospodarki socjalistycznej tego tak całkiem pewien już nie jestem).

Właśnie brak tego negatywnego bodźca, jakim jest ryzyko utraty własności, sprawia, że nikt w gospodarce socjalistycznej nie musiał liczyć się z kosztami. Nikt (poza drobnym z punktu widzenia całej gospodarki marginesem dóbr konsumpcyjnych kupowanych przez ludność i środków produkcji nabywanych przez chłopów) nie był zmuszony do najprostszego rachunku ekonomicznego. Nikt nie miał tzw. „ostrego ograniczenia budżetowego”, tzn. nie musiał troszczyć się o to, aby jego wydatki nie przekroczyły jego przychodów. Nikt! Zarówno Huta Katowice, TPPR czy PZPR, jak i Narodowy Bank Polski.

Brak właściciela odbijał się na racjonalności gospodarowania w każdym przypadku. W dwóch jednak miał szczególnie ostre konsekwencje.

Przypadek pierwszy to ziemia, środek produkcji w naturalny sposób limitowany przez przyrodę (a wiedzieć trzeba, że przez ostatnie 40 lat w rolniczego użytkownika wypadło 20 procent początkowego stanu gruntów).

Drugi to środki trwałe. I tutaj dodatkowo przyczynił się komunizm naukowy, z uporem utrzymujący, iż nic takiego jak kapitał nie istnieje. Owocowało to — po pierwsze — tym, że o istniejący majątek trwały nikt nie dbał. Po drugie zaś — ponieważ nie udało się ukryć, iż korzystanie z budynków, budowli, maszyn itd. jest opłacalne, a przynajmniej wygodne — rozdziło to powszechny pęd do inwestowania. I nie dziwnego. Budowano przecież za społeczne (czyli niczyje) pieniądze coś, co wprawdzie nie było moje, ale z czego ja miałem korzystać. Budowano i budowano, tyle tylko, że powstały w ten sposób majątek nie chciał jakoś zmieniać się w produkcję. Najtragiczniejsze były tu lata 1979—1982, kiedy to inwestowanie co roku jednej czwartej dochodu narodowego dawało ujemne przyrosty produkty (licząc globalnie, w całym okresie 1979—1989 wystąpił spadek produkcji).

Mówiąc o konieczności „uwłaszczenia”, czyli stworzenia kategorii właścicieli, podkreślić muszę, że nie chodzi tu tylko o prywatyzację. Własność prywatna, chociaż w świetle danych najbardziej efektywna, nie jest jedyną, która istnieje w dzisiejszym świecie. Funkcjonować — gorzej niż prywatna, ale na pewno lepiej niż niczyja — może także własność miast, prawdziwych spółdzielni czy nawet własność skarbu państwa. W każdym przypadku jednak wyodrębniony musi być wyraźnie podmiot własności, czerpiący z jej tytułu korzyści i płacący za straty. Musi istnieć także mechanizm ekonomiczny, który selekcjonowałby istniejących właścicieli, eliminując tych, którzy gospodarują najgorzej, i premiujący najlepszych. Bez podporządkowania się temu najważniejszemu ekonomicznemu prawu — prawu własności — niemożliwe jest, aby obowiązywały także pozostałe, wcześniej wymienione reguły.

KONCZĄC, proponuję wszystkim (a przynajmniej tym, których przekonałem czy też nie musiałem przekonywać), aby wzięli pod uwagę ekonomii politycznej socjalizmu, skreślili na karcie tytułowej słowa „politycznej” i „socjalizmu”. Następnie proszę włączyć spis treści i skreślić, jako od dzisiaj nieobowiązujące, następujące prawa:

- a) koniecznej zgodności sił wytwórczych ze stosunkami produkcji,
- b) koniecznej zgodności bazy z nadbudową,
- c) pierwsze i podstawowe prawo socjalizmu (maksymalne zaspokojenie potrzeb na bazie nieprzerwanego wzrostu gospodarczego),
- d) planowego i proporcjonalnego rozwoju,
- e) podziału według potrzeb,
- f) przechodzenia ilości w jakość i przerastania socjalizmu w komunizm (już nie przechodzi i już nie przerasta).

A na zwolnione w ten sposób miejsce proszę wpisać następujące proste i rozsądnie brzmiące prawa ekonomiczne:

- 1) **prawo własności** — gospodarka funkcjonuje najlepiej, gdy wszystko ma w niej konkretnego właściciela;
- 2) **prawo maksymalnej korzyści** — gospodarka funkcjonuje najlepiej, gdy każdy podmiot dąży — w granicach określonych przez prawo — do maksymalizacji swoich korzyści;
- 3) **prawo ceny równowagi** — gospodarka funkcjonuje najlepiej, gdy podział odbywa się w niej wedle cen równowagi, czyli według cen, przy których zrównaniu ulega popyt i podaż;
- 4) **prawo kosztu** — gospodarka funkcjonuje najlepiej wtedy, gdy to wszystko, co jest przedmiotem czyjegoś pożądania, ma swoją cenę; iluzją jest bowiem to, że cokolwiek dane jest za darmo.

SPRYTNE TRIKI W MIEŚCIE KOCKU

Anna Mickiewicz

VSIERPNIU kilku zapaleńców z Kocka postanowiło stworzyć lokalną gazetę. Pomysł był przedni, gdyż w nowych czasach, jakie nadeszły, za potrzebowanie na świeżą informację było bardzo duże.

Nie trzeba było nikogo poganiać ani prosić. W miejscowym ślepie kupiono za własne pieniądze papier. Naokoło działo się dużo ciekawych rzeczy. Zaczęła oficjalnie działać „Solidarność” i Komitet Obywatelski. W związku z tym tematów nie brakowało. Papier był, artykuły też, pojawił się jednak problem — jak to wydrukować?

Kock w całej swej powojennej historii nigdy nie posiadał własnego wydawnictwa, a co się z tym wiąże, nie istnieje tu tzw. zaplecze techniczne. Jednak redaktorzy rozwiązali ten problem. Otóż w Kocku istnieje instytucja — Zakład Doskonalenia Zawodowego, w której znajduje się komputer. Po odkryciu tego faktu, wszystko było już proste; po zebraniu artykułów, korekcie, teksty przepisano na komputerze i cały nakład w formacie A-4 wydrukowano na drukarce komputerowej. Szczęście było ogromne, gdyż „Gazeta Kocka” rozeszła się bardzo szybko. Nakład był nieduży, w związku z czym gazeta zaczęła pozyskiwać swych czytelników na zasadzie — pożyczyl sąsiad sąsiadowi, a ten swemu koledze.

Drugi numer „Gazety Kockiej” został przygotowany w podobny sposób. Redaktorzy zauważyli jednak, że wydrukowanie nakładu gazety na drukarce komputerowej trwa bardzo długo — około tygodnia. Niektóre informacje tracą przez ten czas swoją świeżość i aktualność. Jednak i w tej sprawie redaktorom nie zabrakło pomysłowości. Ktoś przypomniał sobie, że w Urzędzie Miasta i Gminy Kock stoi kserokopiarka, z której mało kto korzysta.

Wystosowano pismo do naczelnika z prośbą o udostępnienie maszyny w celu druku miejscowej gazety. Udało się: naczelnik wyraził zgodę i trzeci numer „Gazety Kockiej” wydrukowano przy pomocy kserokopiarki.

Czwarty numer przygotowano z dużą starannością, gdyż miał ukazać się na święta Bożego Narodzenia. Oprócz wiadomości i artykułów dotyczących bezpośrednio spraw miasta, przygotowano wierszowaną szopkę, zdjęcia i rysunki satyryczne.

Na początku wydrukowano czterdzieści egzemplarzy, które od razu sprzedano. Gdy następnego dnia dziennikarze chcieli zabrać się do dalszej pracy, w urzędzie powitał ich naczelnik z niewesołą wiadomością:

— Drukować nie wolno, bo nikt się nie pytał o zgodę, a poza tym piszecie tam, co chcecie.

— Ale my otrzymaliśmy zgodę na druk — próbowali tłumaczyć redaktorzy.

Po krótkiej, acz ostrej dyskusji rozstano się bez pożegnania. Zastanawiano się, co się stało? Dlaczego naczelnik nagle zmienił zdanie? Przypomniano sobie jednak, że w numerze 4. gazety znajduje się krytyczny artykuł opisujący decyzję, jaką wydał naczelnik w sprawie przydziału mieszkań. „Gazeta Kocka” pisała, że naczelnik „dzięki sprytnemu trikowi przydzielił panu G., swojemu szwagrowi mieszkanie w bloku przy ul. B. Joselewicza z pominięciem komisji do tego celu powołanej”. Wszystko było jasne.

Jednak gazetę trzeba było wydrukować, czytelnicy czekali na świąteczny numer. Redaktorzy pojechali do sąsiedniej gminy i tam wydrukowali kolejne egzemplarze. Tak oto — mimo wielu trudności — świąteczny numer „Gazety Kockiej” dotarł do swych czytelników i został sprzedany bardzo szybko.

W Kocku, jak w mikroskali, ze szczególną ostrością widać wszystkie zmiany, konflikty, „betonowe zapory” — cały obecny polski koloryt społeczny. To w tutejszej Gminnej Radzie Narodowej odbyły się już drugie, nierozstrzygnięte wybory na naczelnika Miasta i Gminy Kock. Komitet Obywatelski w Kocku proponuje, by przeprowadzić referendum wśród ludności w sprawie wyboru naczelnika, gdyż w przeciwnym razie nie wiadomo, czy trzecie wybory będą udane. Członkom obecnej rady narodowej trudno przełamać się i głosować na kandydata „Solidarności” i Komitetu Obywatelskiego. Jednocześnie starzy kandydaci nie mają już za sobą większości. Trwa impas.

Mijają miesiące, mieszkańcy Kocka czekają na naczelnika, który mógłby pokierować inicjatywą ludzi. W mieście panuje atmosfera rozgorzycenia i niepotrzebnych konfliktów.

Obecnie utrudnia się wydawanie „Gazety Kockiej”, a nie trzeba uzasadniać, jak ważna jest to inicjatywa. Gazeta zaczęła wychodzić jeszcze zanim Stefan Bratkowski zaczął publikować w „Gazecie Wyborczej” poradnik o tym jak drukować gazetę lokalną. Pismo miało już pewne sukcesy. Największy to ten, że cały nakład rozchodzi się bardzo szybko, czyli Kock chce ją czytać. Ale nie tylko Kock. Fragmenty z „Gazety Kockiej” były cytowane w dwu skrajnie odmiennych miejscach: w „Polityce” i w „Wolnej Europie”.

Redaktorzy młodej gazety to miejscowa inteligencja, ale nie tylko. Piszą również rolnicy, właściciele kaźdy, kto chce, naczelnik gminy także...

Postscriptum:
Redaktorzy walczą o możliwość druku swojej gazety. Wystosowali kilka pism i złożyli kilka wizyt. Aktualnie sprawę rozpatruje przewodniczący Rady Narodowej w Kocku.

BEZPRAWIA SOCJALISTYCZNEJ

nia gazety opublikowały notkę PAP informującą o trudnej sytuacji finansowej Górnika Zabrze. „Klub ten — pisze anonimowy autor — utrzymywany był przez zakłady i kopalnie w... Zabrzeńskim Gwarectwie Węglowym. Z kilkunastu kopalni, które wspomagały Górnika, ostały się tylko trzy... Zawężił się znacznie krąg ludzi dobrej woli mogących pomóc klubowi...”

Nie podejrzewam autora o przyrodzone głupactwo (choć nie mogę tego wykluczyć). Myślę raczej, iż przemawia przez niego stare przyzwyczajenie, że pewne rzeczy mogą być za darmo i że od widzimisię dyrektora kopalni zależy to, czy da pieniądze na utrzymanie piłkarzy lub rowerzystów figurowych. A to przecież nie na dyrektora, lecz mojej dobrej woli (wyrażonej zgodą na wyższe ceny węgla) opiera się dopłacanie nie mogącym na siebie zarobić (na widowni sto osób) „zawodowcom”. A ja pieniędzy nie dam. Nie dałbym na Lubańskiego i Sołtysika, a więc tym bardziej nie dam na takich, którzy mają dwie lewe nogi i lewe etaty ratowników górniczych.

Znacznie bardziej ekonomicznie szkodliwe są jednak darmowe środki produkcji.

Przy rozdzielnictwie wszystkie one „sprzedawane” były za pół darmo, co tworzyło pozor niskich kosztów wytwarzania. Niektóre (a znowuż wynikało to z ekonomicznych koncepcji bezrobotnego — a więc pasywnego społecznego — z Trewiru i utrzymującego go, z zagarniętej wartości dodatkowej, kapelusznika z Wuppertalu) były jednak całkiem darmo. W szczególności dotyczyło to ziemi i środowiska naturalnego.

Pytałem już na tych łamach, ile dokładamy wszyscy do utrzymywania w Lublinie deficytowej i śmierdzącej cukrowni, która zajmuje — w śródmieściu — obszar kilometra kwadratowego (cena metra kwadratowego — ponad milion złotych). Ile tracimy bezpośrednio? Ile poprzez rozciągnięcie miasta na wielokilometrowe odległości (np. przez straty przesyłowe energii cieplnej)? Czy słuszne jest i sprawiedliwe, pytam — świadomie narażając się jednemu z najsilniejszych lobbies, tj. lobby działkowców — w takiej sytuacji fundowanie przez wszystkich niektórych działek pracowniczych (przy obecnych cenach realna renta dzierżawna za przeciętną działkę powinna wynosić ok. 20 milionów złotych rocznie)? A przecież ogródki działkowe są — przynajmniej dla działkowców — jakąś sensowną formą użytkowania ziemi. A ile gruntów w centrach naszych miast spoczywa sobie spokojnie jako bezpański odlóg?

Bezpański. To słowo jest — myślę — kluczem do całości omawianych tutaj problemów. Jest też ilustracją czwartego i najważniejszego grzechu ekonomicznego socjalizmu.

GOSPODARKI SOCJALISTYCZNEJ GRZECH CZWARTY I NAJWAŻNIEJSZY: „Wszystko jest własnością wszystkich”.

Zasadniczym celem socjalizmu było „zniesienie wyzysku”. Gwarantować to miały: od strony bazy — zniesienie własności prywatnej, i od strony nadbudowy — dyktatura proletariatu. O dyktaturze proletariatu w zasadzie zamilczę. Zacytuję tu tylko przytaczaną przez Herlinga-Grudzińskiego w „Dzienniku pisanym nocą” opinię starego socjalisty Akselroda. Pojechał po rewolucji obejrzeć „państwo nowego typu” i stwierdził: „Nie ma żadnego proletariatu, żadnej dyktatury Rad, jest tylko banda, która dorwała się władzy i rządzi przy pomocy knuta”.

PREZENTUJEMY drugi odcinek tekstu doktora Zbigniewa Gnata-Wieteski o masakrze oddziału z 15 pp AK, dowodzonego przez ppor. Mieczysława Zielińskiego ps. „Moczara”. Sprawcami bratobójczej zbrodni we wsi Owczarnia byli AL-owcy z oddziału Bolesława Kowalskiego — „Cienia”, późniejszego pułkownika LWP. O tym bandyckim wyczynie „Cienia” pisał w 25 (62) numerze „Tygodnika Solidarność” Cezary Chlebowski. Tekst Zbigniewa Gnata-Wieteski, zamówiony u autora przez naszą redakcję na długo przed ukazaniem się opracowania Chlebowskiego, publikujemy z nadzieją poszerzenia wiedzy na temat owych tragicznych wydarzeń.

I jeszcze jedno. W 30. numerze naszego pisma wydrukowaliśmy list-apel Janiny Aleksandry Król-Nowickiej w sprawie poszukiwania informacji o działalności „bohaterkiego oficera AL, B. Kowalskiego — Cienia”. Autorka listu, pragnąca napisać pracę magisterską z historii podał, jako własny, adres... Aresztu Śledczego przy ul. Rakowieckiej w Warszawie (co ustalił Cezary Chlebowski). Ktokolwiek byłby autorem tego listu — dał dowód grubiaństwa, bo nagrawanie się z ludzkich dramatów nie jest żartem, lecz chamstwem. Czytelnikom zostawiamy ocenę „bohaterkiej” działalności ppor. Kowalskiego.

(Red.)

PRZED kwaterą zwiadu zebrały się sekcje „Asa”, „Sępa”, „Pingwina” i „Dąbrowy”. Sekcja „Fiata” pozostała w swojej kwaterze. Ludzie stali w dwuszeręgu z bronią u nogi podliczając brakujących, których — jako rannych — znoszono na kwaterę. Wśród tych ostatnich byli m.in. „Kaktus”, ranny w ramię i „Dąbrowa”, ranny w klatkę piersiową.

W tym czasie „Cień” i jego adiutant omawiali na drodze przed zbranym oddziałem, z ppor. „Moczaram” i ppor. „Marsem” szczegóły „nieporozumienia”. „Fiat”, który pojawił się wówczas na drodze, podszedł do „Marsa”, zamienił z nim kilka słów i skierował się na kwaterę rannych. Obława ominęła jego sekcję kwaterującą na skraju wsi. W swojej relacji „Fiat” pisze m.in. „(...) gdy wartownik zameldował oddalające się sylwetki członków oddziału »Cienia« (poznał ich) i gdy ucichła nagła strzelanina, podejrzewając podstęp sam udałem się na miejsce zbiórki w centrum wsi zabraniając równocześnie chłopakom ujawniania swojej obecności na kwaterze. Do miejsca zbiórki dotarłem po pierwszej fazie walki, w momencie, kiedy została zarządzona przez »Moczara« i »Cienia« zbiórka oddziałów i kiedy »Cień« przeproszał »Moczara« i »Marsa« za wyniki nieporozumienia tłumacząc się, że otrzymał meldunek, że we wsi są Niemcy. Doszedłem do »Moczara« i »Marsa« w chwili, gdy oddziały stawały opodal na zbiorce tak manewrowanej przez »Cienia«, żeby stały naprzeciw siebie na wiejskiej ulicy (...). Dochodząc do »Moczara« wzdłuż ustawiających się »Cieniowców« zauważyłem, że w ich dwuszeręgu miejsca w pierwszym szeregu zajmują ci, którzy mieli »pepszki« i że są one odbezpieczone. Powiedziałem o tym »Moczarowi«, który tylko powiedział »zarządzona jest zbiórka oddziałów». Na to ja odmeldowałem się i zamiast iść po swoich chłopaków poszedłem na kwaterę rannych...”

W chwilę później udał się tam także „As”. Mając zawsze przy sobie torbę sanitarną, postanowił zrobić opatrunek „Dąbrowie”, koledze, z którym razem przeszedł do oddziału. Wchodząc do budynku zauważył jeszcze zbliżający się oddział AL przywołany przez „Cienia” po słowach: „nie będą stali jak dwa wrogie oddziały jeżeli już sprawa nieporozumienia jest wyjaśniona, a ponadto jest okazja dla wzajemnego zapoznania się”.

Oddział AL zbliżył się i stanął po drugiej stronie drogi naprzeciw oddziału AK. Ppor. „Moczara” nie przeczuwając podstępnie nie oponował. Moment później „Cień” strzelił do „Moczara”, jego zastępcę — adiutanta „Kozak” do „Marsa”, a pierwszy szereg salwą z broni maszynowej wprost w twarze zaskoczonych tym żołnierz „Moczara” stojących w odległości kilku kroków z bronią u nogi. Po pierwszej salwie nastąpiła druga i trzecia, a później już bezustanna strzelanina kosząca dwuszeręgi AK-owców. Tylko nieliczni, którzy cudem uniknęli trafienia od pierwszej salwy rzucili się do ucieczki i przez furtkę, podwórze i plot gospodarstwa Julii Krawiec, a następnie łąką uciekali do pobliskiego lasu. Niektórych dosięgały kule. Wśród nielicznych, którym dopisało szczęście był „As”, dowódca zwiadu konnego; w biegu porwał — zdjęty po wejściu na kwaterę rannych — pas z bronią i torbę sanitarną, pod silnym ogniem sforsował plot, przebiegł przez łąkę, małą rzeczkę i dobiegł do lasu.

Silny ogień nie oszczędził budynku — kwatery rannych. Podziurawiony jak sito nie stanowił zabezpieczenia dla ludzi. Przebywający w nim ranni i sanitariuszki — „Barbara” (Anna Hincz) i sanitariuszka z oddziału „Cienia” — rzucili się na podłogę. Pociski z broni maszynowej i karabinowej przebijali ścianę budynku...

Kilku żołnierzy „Moczara” — przebywający wśród rannych „Fiat” oraz „Dobry” (Władysław Koziej), „Romb” (Józef Nojek) i „Pingwin” (Jan Janiszewski) — którym udało wyrwać się z masakry, schronili się na strychu kwatery rannych. Tymczasem na wiejskiej ulicy dopełniał się akt zbrodni bratobójczej. W kałużach krwi leżeli „Moczara” i jego kilkunastu żołnierzy. Oprawy chcąc dobrze wykonać powierzone zadanie podszli bliżej i zasypali strzałami dymiące jeszcze krwią ofiary. Jak stwierdzono później, przy ekshumacji, niektóre ciała były zupełnie rozniesione pociskami.

Niebezpieczeństwo groziło również rannym. Zapadła bowiem decyzja o dobitcu ich. Przedtem jednak chciano wydusić z nich informacje dotyczące

broni, której nie znaleziono przy pomordowanych, „Fiata”, który jak widziano chwilę przed masakrą wszedł na podwórze kwatery oraz to, gdzie są jego ludzie. Pytano rannych i „Baśkę”. I tylko jej dzielna postawa oraz słowa rzucone w twarz „Cieniowi”, że nawet bandyci i Niemcy nie dobijają rannych, wpłynęły na jego decyzję, by ich zostawić w spokoju. Darowano im życie, ale ograbiono z obuwi i ubrań.

Sądzić należy, że wpływ na taką decyzję mogła mieć również świadomość, że część ludzi „Moczara” zbiegła i nie da się już utrzymać w tajemnicy mordu na jego ludziach. W tej sytuacji wymordowanie rannych zaognioby i tak już przecież złą sytuację w podziemiu antyniemieckim. Możliwe również, iż

Oddział AL stanął naprzeciw oddziału AK...

OWCZARNIA 1944

Zbigniew Gnat - Wieteska

„Cień” sądził, że pozostawieni na pastwę losu ranni dostaną się w ręce Niemców.

Po ograbieniu zabitych i rannych z odzieży i obuwi, po pogrzebaniu ich i czterech swoich ludzi oraz zabraniu zdobytej broni, „Cień” i jego oddział opuścili Owczarnię. Przebywali w wiosce około 60–90 minut. Pod opieką „Baśki” przekazali „Komara”, który, jak się okazało w czasie grzebania zabitych, ocalał przywołany ciałem kolegi. Chciano go co prawda dobić, w obronie jego stanął jednak jeden z członków oddziału „Cienia” mówiąc, że skoro ocalał, trzeba mu darować życie. Ocalał, ale straszne przeżycie i śmierć kolegów spowodowały pomieszenie zmysłów.

Po odejściu oddziału „Cienia” — na kwaterę rannych zaczęli przybywać ci co przeżyli. „Fiat” ścignął tam również swoją sekcję, a około godziny dwunastej, po konsultacji z „Baśką”, udał się wraz z sekcją pod Kazimierz, do sztabu Podobwodu, by zameldować o zaistniałym zdarzeniu. Rano był już z powrotem w Owczarni. Razem z nim przybył dowódca oddziału — „Hektor”. Późno w nocy wrócił do Owczarni pchor. „As”. Na plebanii w Bobach przewieziono kilku rannych, obmyto ich tam i opatrzone, a po dotarciu plutonu „Grzechotnika” — dziewięciu rannych przerzucono do Urzędowa.

Pomordowanych żołnierzy „Moczara” i 4 żołnierzy „Cienia” pochowano w dwóch grobach w pobliżu miejsca tragedii. Następnego dnia przyjechała żandarmeria z Opoła Lubelskiego; otworzono groby, zabrano ciała poległych i, po zrobieniu zdjęć, pochowano je na cmentarzu.

Wkrótce po zbrodni władze Podobwodu zarządziły koncentrację oddziału, aby rozprawić się z „Cieniem”. Na polecenie dowództwa wkrótce ją jednak odwołano.

Z APOWIEDZIANY zrzuć ludzi i sprzętu przyjął na zapasowej placówce zrutowej w okolicach Woli Gałęzowskiej koło Bychawy oddział „Szarugi” (ppor. rez. Aleksandra Sarkisowa).

Jak już wspominałem, na Lubelszczyźnie utożsamiano AK z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. W raporcie z dnia 10 maja 1944 roku poświęconym zebraniom członków Armii Ludowej na terenie północnej części powiatu krańcickiego, „Bartosza” (Paweł Niewinny), przedstawiciel dowództwa V Okręgu AL, stwierdził m.in. „Ostatnie wypadki Cienia z ND (Narodowa Demokracja — przyp. Z. W.) na Owczarni prace chwilowo zatrzymały”.

Mimo że czyn „Cienia” nie uzyskał oficjalnego uznania w ówczesnym dowództwie Obwodu Armii Ludowej, niedługo później, 2 czerwca 1944 r., otrzymał on awans na porucznika „za osobistą odwagę, bojowe zasługi, pracę organizacyjną”. A jak twierdził ptk. „Skiba” (Wincenty Heinrich) czyn ten był nie tylko potępiony przez „Alego” (Aleksander Szymański), sekretarza Obwodu PPR, „Połę” (Wacław Marek), sekretarza Okręgu Lubelskiego nr 5 PPR i dowództwo oddziału „Skiby”, ale w czerwcu wystąpili oni z wnioskiem o „uznanie oddziału »Cienia« za oddział bandycki, rozbrojenie go i pozbawienie przynależności do AL”.

W lipcu 1944 roku Gustaw Alef-Bolkowiak ps. „Bolek”, dowódca Grupy Specjalnej Obwodu Lubelskiego AL zawarł porozumienie z AK w powiecie puławskim i janowskim. W raporcie z dnia 11 lipca informował dowództwo Obwodu:

„Zawarliśmy porozumienie z Inspektorem AK na teren pow. puławskiego i janowskiego. Oryginał wspólnego oświadczenia oraz kopie upoważnień do pertraktacji i podpisania oświadczenia (»Zeliwa« jest komendantem Obw. puławskiego). Ustnie zostały złożone następujące oświadczenia:

1. Sprawy »Cienia« (Bolesław Kowalski), Dąbrowskiego i sprawców Stefanówki odkłada się na czas powojenne do ewentualnego rozpatrzenia przez odpowiednie instancje sądowe wolnej Polski.
2. Ze względu na możliwości wystąpienia o charakterze prywatnym członków rodzin pomordowanych pod Owczarnią i celem uniknięcia zadrażnień w terenie w miarę możliwości por. »Cienia« nie kierować na teren pow. puławskiego”.

W OKRESIE powojennym „Cień” awansował do stopnia pułkownika. Służył początkowo w Milicji Obywatelskiej, a następnie w Wojsku Polskim. Jak już wspomniano wyżej, w Owczarni zginęło 18 członków oddziału „Moczara”:

— ppor. rez. piech. Mieczysław Zieliński ps. „Moczara”; wachm. Marian Tomaszewski ps. „Strzemie”; plut. Józef Zuchniarz ps. „Sep”, dowódca sekcji; kpr. Stefan Buksiński ps. „Wyrwa”; strz. Aleksander Kles ps. „Listek”; strz. Wacław Kuta ps. „Przeziórka”; strz. Władysław Łysańczuk ps. „Kalina”; strz. Marian Mazurkiewicz ps. „Świda”; strz. Andrzej Migdał ps. „Siapek” (zmarł z ran); strz. Roman Piechowicz ps. „Sprytny”, z sekcji „Asa”; strz. Stanisław Piskala ps. „Orlik”; strz. Tytus Kodak ps. „Kula”; strz.

Czesław Skrupski ps. „Spec”; strz. Jan Skwarek ps. „Zuraw” (zmarł z ran); strz. Stanisław Wielomski ps. „Tarzan”; strz. „Granat” (NN); ppor. Ignacy Franciszek Kamiński ps. „Zuraw”, oficer 15 pp AK; ppor. Bogdan Kosiński ps. „Mars”.

Wśród rannych byli:

— Czesław Dzwonnik ps. „Bombowiec”; Stanisław Brzeziński ps. „Dąbrowa”; Tadeusz Łubek ps. „Delfin”; Marian Kurus ps. „Motyl”; Mieczysław Marsurkiewicz ps. „Nicpoń”; Jan Krawczyk ps. „Ostryga”; Jan Janiszewski ps. „Pingwin”; Mieczysław Chabros ps. „Polonus”; Mieczysław Nojek ps. „Romb”; Franciszek Zadura ps. „Roland”; Lucjan Trajer ps. „Strzała”; Jan Kowalczyk ps. „Kaktus”; Edward Adamczyk ps. „Vis”.

Ocalał z pogromu:

— Anna Hincz ps. „Baśka”, sanitariuszka; Jerzy Ludwiczak ps. „Fiat”, dowódca sekcji; Stanisław Jakubicki ps. „Junior”, sekcja „Fiata”; Bolesław Reszka ps. „Ster”, sekcja „Fiata”; Wiktor Wiśniarski ps. „Wrona”, sekcja „Fiata”; Jerzy Kędzierzki ps. „Jur”, sekcja „Fiata”; Henryk Samsik ps. „Sosna”, sekcja „Fiata”; Antoni Turski ps. „Lew”; Wacław Jasiocha ps. „Roch”, sekcja „Asa”; Kazimierz Buksiński ps. „Bela”; Jan Wielomski ps. „Lampart”; Stanisław Śniadowski ps. „Garb”; Edward Szanc ps. „As”, dowódca sekcji zwiadu konnego; Feliks Krawczak ps. „Szczygieł”; Zygmunt Cebula ps. „Komar” (przywołany trupami, dostał pomieszenie zmysłów); Władysław Niezabitowski ps. „Porzyński”; Edward Olszak ps. „Skowronek”; Stanisław Mrozek ps. „Kłos”; Władysław Koziej ps. „Dobry”; Henryk Kuryllo ps. „Strunyk”, wysłany rano z rozkazem.

Informacje o wydarzeniach w Owczarni zamieścił w swoich opracowaniach m. in. Tadeusz Zenczykowski („Polska Lubelska 1944”, Profil, Wrocław 1989 r., s. 205) informując błędnie o dacie i liczbie zamordowanych żołnierzy AK oraz Jerzy Ślaski („Polska Walcząca”, t. 5–8).

7 maja 1989 roku z inicjatywy Władysława Kozieja ps. „Dobry” odprawiono na miejscu zbrodni polową mszę świętą oraz poświęcono krzyż z okolicznościową tablicą.

(Koniec)

PS. Tragiczne wydarzenia w Owczarni odtworzono na podstawie relacji Władysława Kozieja, Jerzego Ludwiczaka, Edwarda Szanca, Mariana Kurusa, Jana Górskiego i Agnora Wajusińskiego, opracowania Janusza Pomorskiego i Agnieszki Andrzeja Kamińskiego i listu płk. dypl. pil. rez. Wincentego Heinricha opublikowanego w „Magazynie Tygodniowym Gazy Robotniczej” w nr. 17 z dnia 24–26 IV 1981 r. Uwzględniono także informacje zawarte w wydawnictwie źródłowym — „Gwardia Ludowa i Armia Ludowa na Lubelszczyźnie 1942–1944” (Lublin 1960 r.).

Autor prosi o nadsyłanie uzupełnień lub sprostowań pod adresem:

dr Zbigniew Gnat-Wieteska
ul. Marzysza 8 m. 7
08-400 Garwolin

Uważali, że ich miejsce jest w Polsce

WOKÓŁ „KUNCEWICZÓWKI”

Mirosław Derecki

ONA — drobna, delikatna, ubrana z dyskretną elegancją, z pozoru trochę odrealniona, jakby bezradna, co tym bardziej kontrastowało z niesłychaną precyzją wyrażania myśli, w mowie i w piśmie; zawsze wystawiała się spokojnie, z namysłem, z przemyśleniami na dobór najbardziej właściwego słowa czy określenia.

On — wysoki, zwalisty, z podanym do przodu brzuchem, z wieńcem puszystych białych włosów otaczających łysinę; spoglądający z ciągłą przekorą na świat, porywczy, impetyczny, noszący się „na luzie”, huczący, gawędziarski; celny w sądach, przewidujący, analityczny...

Życie pokazało, iż przestrogi przyjaciół, gdy dowiedzieli się o planowanym małżeństwie Marii Szczepańskiej z młodym ludowym działaczem Jerzym Kuncewiczem (że to chyba człowiek nie dla niej, bo jest: „trochę narwany”, „zawsze głośny i szybki”, „wydaje sarmackie okrzyki”, „nie prosty, jak jego natura”) — nie miały się z prawdą. Ale życie dowiodło również, iż owe cechy Działacza (tak go nieraz określała Maria Kuncewiczowa, z pewną nutką pobłażliwości i przekory w swoich książkach) jakoś nie przeszkodziły w przeżyciu kilkudziesięciu lat przez tych dwoje ludzi, obok siebie.

Sposób reagowania Marii Kuncewiczowej i Jerzego Kuncewicza na otaczający świat, na zachodzące wokół nich wydarzenia dnia codziennego i wydarzenia polityczne, na ich wzajemne relacje, pokazuje w migawkowym rozbiysku scenka z „Fantomów”:

„Jerzy siedzi przy kierownicy, ja przeglądam gazetę. «Stuchaj — mówię — w tym tygodniu uprowadzono trzy samoloty w Ameryce i dwa w Europie». Jerzy chrząka. «Stuchaj — mówię — ten ambasador jechał opancerzoną limuzyną, jemu się nic nie stało, tylko go wzięli do niewoli. Dwóch policjantów jest rannych». Jerzy ziewa. «Stuchaj — mówię — o tych zakładnikach, co wiesz, słuch zaginął. Ale jednego trupa przypadkiem odkopali przy drodze». Jerzy uspokaja: «Nie przejmuj się, nie jesteś ambasadorem, zobacz na mapie, jak daleko do najbliższego miasta, opona mi siada»...

Jerzy Kuncewicz — i samochód! Jeździł nim isticie po kawaleryjsku, jak na dawnego ułana krechowieckiego przystało. Jeszcze dobrze po osiemdziesiątce tkwił niewzruszenie za kierownicą ciężkiego „mercedesa”, zapadłszy się głęboko — w sposób dla niego charakterystyczny — w fotel, tak że zza szyby widać było tylko siwą głowę.

Uznawał tylko bardzo szybką jazdę. W niezwykłym pedzie przelatował trasę z Kazimierza do Warszawy, z piskiem opon podjeżdżając pod hotel „Europejski”, w którym Kuncewiczowie się zazwyczaj zatrzymywali, głuchy cały czas na prośby siedzącej obok żony, aby się tak „nie rozpędzał”. Nic sobie nie robił z zatrzymujących go co pewien czas milicjantów z „drogówek”, zasłaniając się swoim amerykańskim paszportem i hucząc coś do nich, dla lepszego efektu, po angielsku. Miał przy tym wygląd co najmniej ambasadora Stanów Zjednoczonych. I... zazwyczaj wszystko kończyło się energicznym „wালনিęciem w dach” przez edezorolntowanego funkcjonariusza. Pewnego razu tak się Jerzy Kuncewicz „rozpędził” na szosie do Warszawy, że zdesperowane do ostateczności pasażerki — żona oraz pani-Leonia Zawadzka, małżonka byłego prezesa RSW Prasa, Mieczysława Zawadki, zażądały kategorycznie, aby się zatrzymał, wysiadły i... dalej pojechały autobusem PKS.

Kiedyś karta się odwróciła. Jechali z żoną na jej wieczór autorski do Opola Lubelskiego, ścinając zakręty na „górkim” odcinku koło Jeziorszczyzny, i w pewnym momencie zatarasował im drogę patrol milicyjny. W tym rejonie „mercedes” Kuncewiczów był żyłt dobrze znany, żeby próbować sztuczki z „turystą amerykańskim”. W czasie utarczki słownej na temat zapłacenia mandatu za przekroczenie szybkości, Jerzy Kuncewicz spróbował z całkiem innej beczki. „Panie, czy pan wie KOGO ja tutaj obok siebie wiozę?” — zapytał kaprała z „drogówki”. „Nie mam pojęcia” — odpowiedział zaintrygowany trochę funkcjonariusz. „To jest WYBITNA POLSKA PISARKA, Maria Kuncewiczowa. ONA śpieszy się na wieczór autorski!!!” Kaprał zastanowił się przez chwilę, a potem stwierdził szczerze: „Nigdy o takiej nie słyszałem”. I dodał: „Ale pan mnie tu zagaduje, a mandat czeka. To jak, płacimy na miejscu, czy...?” „Nie słyszał! ON NIE SŁYSZAŁ!” — zachnął się dotknięty do żywego Kuncewicz. I już szykował się do długiej dysputy. Ale nagle tylko ręką machnął, westchnął i... sięgnął po portfel.

Ale nadszedł wreszcie taki dzień, kiedy Kuncewiczowie o mało nie zginęli na rozjeździe dróg na Należców i Puławy w Bohotnicy, bo ich „mercedes” wpakował się prawie prosto pod koła nadjeżdżającego autobusu. Od tamtej pory Jerzy Kuncewicz musiał ostatecznie zrezygnować z prowadzenia samochodu. Pieczę nad kierownicą przekazał Tadeuszowi Roguskiemu, dawnemu wychowankowi, który zamie-

szkał w „Kuncewiczówce”, w niewielkim mieszkaniu pozostałym po Józefowej, zmarłej jakiś czas przedtem żonie wieloletniego dozorczy, ogrodnika i w ogóle opiekuna „Kuncewiczówki” — Józefa Wójcika.

Dom, kiedy rodziły się jego plany, miał nazywać się willą „Pod wiewiórką”. Ale jakoś się, ostatecznie, ta nazwa nie ostała.

Dlaczego akurat — „Pod wiewiórką”? Dlatego, że naokoło było ich pełno. I ja, z czasów zamieszkiwania w „Kuncewiczówce”, pamiętam ich stałą obecność na wysokiej, strzelistej daglezi rosnącej za starą studnią głębinową, na rozłożystej wierzbie nad nieczynnym basenem, na trawniku przed domem, na tarasie.

Było też wokół „Kuncewiczówki” pełno innej zwierzyny. Przy wschodnim wejściu warował na łańcuchu wilczur „Szarlik”, hasały koty; na rosnącej za domem wisni skrzczała sroka; niedaleko, na dnie parowu, elektryk z Domu Prasy, Janusz Nowakowski, hodował w klatkach króliki.

W ciepłe majowe wieczory w krzakach naprzeciw tarasu śpiewały słowiki. Za niskim kamiennym murkiem, niedaleko daglezi, stały trzy czy cztery ule Jerzego Kuncewicza, których doglądał stolarz i pszczołarz w jednej osobie, pan Edward Łaszanowski.

Kiedy pan Łaszanowski podbierał miód, trzeba się było kryć, bo pszczoły się denerwowały. Kiedyś cały rój pszczełi zawisł nad bocznym wejściem do „Kuncewiczówki” i lecieliśmy do pana Łaszanowskiego po ratunek... „A przed wojną — mówił Jerzy Kuncewicz — to tutaj, panie, były jeszcze pawie. I tak sobie, z tymi swoimi ogonami, spacerowały po sadzie..

No, i spokój wtedy jeszcze był większy, i powietrze bardziej czyste, i nie było w wąwozie Małachowskiego zapachu samochodowych spalin”.

W najmniejszym pomieszczeniu przyziemia był warsztat stolarz i pana Łaszanowskiego.

Z warsztatu pana Łaszanowskiego pachniało drewnianymi stróżynami, lakierem, politurą, niósł się stamtąd odgłos heblowania lub piłowania. Pan Łaszanowski pracował wolno, z uwagą i namaszczeniem, niespiesznie a dokładnie. To był nie tylko styl pracy dawnego, dobrego przedwojennego rzemieślnika. To było także przyzwyczajenie wyniesione z lat wojny, kiedy to jako żołnierz 2 Korpusu, wcielony do batalionu saperów, rozbrajał pod Monte Cassino, a potem — w drodze na Ankonę i Bolonię — rminy niemieckie. Trzeba przy takim zajęciu zachowywać stałą wagę, trzeba być precyzyjnym w działaniu, bo — jak wiadomo — saper myli się tylko raz.

Pan Edward nie pomylił się ani razu, więc później mógł wrócić do rodzinnego Kazimierza, aby hodo- wać pszczoły i — jak przed wojną — robić meble.

W salonie-jadalni „Kuncewiczówki” stoją dwa czy trzy fotele, które pan Łaszanowski dorobił do niepełnego kompletu stołowego, i niewiele osób odróżni je od autentycznych antyków.

Trochę podobnie było ze „stylowym” huculskim piecem w salonie. To prawdziwe dzieło sztuki ceramicznej i zdunijskiej, zbudowane ze wspaniałych, uni- kalnych kafli, jakich może już dzisiaj nie znajdzie się nawet na samej Huculszczyźnie, bo najpierw huculską kulturę wymiałała ręka niemieckiego oku- panta, a później — oszalała ideologia. Otóż ten niezwykły piec w „Kuncewiczówce” przetrwał zarówno lata wojny, jak i okres socrealizmu. Przetwał na- wet czasy rezydującej tutaj „złotej młodzieży” z krę- gów wysokopartyjnych później epoki Gomułki i wczesnej ery Gierka.

Piec nabrał odpowiedniego „blasku” dopiero wów- czas, gdy Maria i Jerzy Kuncewiczowie umeblowali odzyskane wnętrza, kiedy pojawiły się w salonie-jad- alni stare meble, gdy pod sufitem zawisły żyran- dole...

Zaś historia huculskiego pieca jest taka: Jerzy Kun- cewicz podczas pobytu przed wojną na Huculszczyźnie zachwyił się kafkami, z których tamtejsi mieszkań- cy budowali trzony kuchenne w swych na polu kur- nych chatach. Kupił — ku radości właścicieli, co ma- rzyli o posiadaniu białych, fabrycznych, „nowoczes- nych” kafli — dwie takie „kuchnie”, i swój nabytek, zapakowany w specjalne drewniane skrzynie, wy- stał dotaryk kolejową do Puław. Do Kazimierza kafele dotarły zapewne chłopską furmanką. Tutaj sta- ły się tworzywem zaprojektowanego specjalnie przez Karola Sicińskiego ozdobnego pieca do salonu.

Huculski piec nieodmiennie budził zachwyt gości z różnych stron świata, odwiedzających „Kuncewi- czówkę”.

Bywało tych gości sporo. A czasami stawali się oni dla wiekowych gospodarzy prawie udręką.

Rywał tutaj i ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie, i przedstawiciele innych placówek dy- plomatycznych, koledzy-wykładowcy uniwersyteccy Marii Kuncewiczowej z Chicago, jej dawni amerykań- skańscy studenci, znajomi z lat wojny, których Kun- cewiczowie poznali w krajach, gdzie wówczas rzucili ich losy, artyści polscy i zagraniczni, znani dzienni- karze. Wśród tych ostatnich: Neil Acheson, brytyjski korespondent w Polsce, autor książki o „Solidar- ności”. Zwierzał się on, że swoje zainteresowanie Polską zawdzięcza właśnie Marii Kuncewiczowej, od czasu, kiedy we wczesnej młodości przeczytał „Tri- stana 1946” w przekładzie angielskim.

A propos: przez pewien czas nosił się z zamiarem przeniesienia „Tristana” na ekran, pracujący w Holly- wood znany przedwojenny reżyser filmowy, Józef Lejtes. Do realizacji nie doszło, bo Lejtes zmarł.

Kiedyś odwiedził „Kuncewiczówkę” Andrzej Wajda. Wiązało się to z jego zamiarem sfilmowania „Cudzo- ziemki”. Ale nic z tego nie wyszło. Nie wiem, z ja- kich przyczyn Wajda zrezygnował. Ostatecznie „Cu- dzoziemkę”, z Ewą Wiśniewską w roli głównej, zrea- lizował Ryszard Ber. Była to realizacja bardzo sta- ranna, a Ewa Wiśniewska zagrała niewątpliwie jedna ze swoich najlepszych ról, wcielając się w postać Róży. Ale... czegoś jednak temu filmowi brakuje. Może za mało w nim szaleństwa, może za mało pasji, jaka cechuje opowieść trzydziestokilkuletniej wów- czas, gdy książka powstawała, Marii Kuncewicz- owej...

Wśród gości odwiedzających „Kuncewiczówkę” za- brakło osoby, którą Maria i Jerzy Kuncewiczowie bardzo chcieli poznać: byłego redaktora naczelnego „Kamery”, Marii Bechcyc-Rudnickiej. Poza uzna- niem dla jej erudycji i jej klasy pisarskiej — krytyka teatralnego, fascynowała ich nieprawdop- bna żywotność i jasność umysłu tej dobiegającej dziewięć- dziesiątego czwartego roku życia, kobiety. Miałem uzgodnić termin spotkania w Kazimierzu; niestety nagle spadła na Marię Bechcyc-Rudnicką choroba, a ze szpitala już nie wróciła...

Kuncewiczowie starali się nie angażować w wypad- ki polityczne, rozgrywane się w latach osiemdzie- siątych w Polsce. Nie chcieli być angażowani przez żadną ze stron. Oczywiście, opowiadali się zdecy- dowanie po stronie opozycji politycznej, po stronie zdelegalizowanego Pen-Clubu; Maria Kuncewiczowa nie przyjechała podczas stanu wojennego przyznanego jej wysokiego odznaczenia państwowego, odmówiła wzięcia udziału w ostatecznym referendum (kiedy podsuwano jej urnę... podczas pobytu w szpitalu w Puławach!) itd. itd. Zresztą byli zdecydowanie przeciwni ustrojowi PRL i nigdy się z tym nie kryli. Ale uważali, że ich miejsce, niezależnie od panującego ustroju, jest w Polsce, bo tutaj jest ich kraj ojczysty i tutaj stoi ich dom, który kiedyś dla siebie zbudowa- wali. Maria Kuncewiczowa powtarzała także nie- jednokrotnie, że pisarz nie może się oderwać całko- wicie od kraju ojczystego, od korzeni, z których wy- rósł, bo to się prędzej czy później odbije na jego twórczości.

Jest to oczywiście tylko jeden z poglądów na tę skomplikowaną kwestię. Bo na przykład Gombrowicz czy Miłosz może nie zaistnieliby w pełni b e z zdecy- dowania się na pozostanie na stałe za granicą.

Kuncewiczowie, gdy nadszła zima, odlatywali na południe, do Rzymu, gdzie spędzali kilka miesięcy w pensjonacie prowadzonym przez zakonnice.

Na wiosnę jednak nieodmiennie wracali.

Jeszcze — o odwiedzinach. W pewne lipcowe czy sierpniowe popołudnie siedzieliśmy z Jerzym Kunce- wiczem na tarasie niedosłej willi „Pod wiewiórką”. Już nie pamiętam, o czym wtedy rozmawialiśmy. By- ło ciepło i duże przeszkłone drzwi wiodące do wne- trza domu były szeroko otwarte.

Nagle na tarasowe stopnie zaczęła wstępować para młodych, trzydziestokilkuletnich ludzi. Byli trochę zaambarasowani, ale po chwili mężczyzna zdecydował się na pytanie: „Przepraszam, czy to może pan Kun- cewicz?” „A, ja!” — odparł zapytany, popatrując życzliwie na nich i na stojącą z tyłu dwójkę dzieci. „Bo widzi pan — ciągnął mężczyzna — mamy taką prośbę... Otóż my bardzo dawno nie przyjeżdżaliśmy do Kazimierza; ale jak byliśmy mali, dwadzieścia parę lat temu, to stałe przyjeżdżaliśmy tutaj, do tego domu, na kolonie. I tutaj się poznaliśmy. A póź- niej, jak dorosliśmy, to pobraliśmy się. No, i teraz chcielibyśmy pokazać ten dom, to miejsce, gdzie kie- dyś spędzaliśmy wakacje, naszym dzieciom. Więc, gdyby pan się zgodził...” „Ależ naturalnie, proszę bardzo, wejdźcie sobie do środka, drzwi są otwarte, obejrzyjcie, co chcecie” — powiedział szeroko ręką Kuncewicz, uśmiechając się przyjaźnie i dobroliwie.

Nagle mu coś się przypomniało. „Aaa — to wy by- waliście tutaj na koloniach za czasów »Bezpie- ki«...” — zagadnął z zainteresowaniem. Młody mę- czyzna spieszył się: „My, proszę pana, byliśmy nie z Urzędu Bezpieczeństwa, tylko z »drogówek«...”

Głupio mi się zrobiło. Wietrzyłem w słowach Je- rzego Kuncewicza zapowiedź jakiejś straszliwej ty- rady wobec Bogu ducha winnej pary, która wiedzio- na sentymentem przyjechała odwiedzić „stare kąty” z lat „szczęśliwego dzieciństwa”.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Po prostu — wła- ściel „Kuncewiczówki” zadał pytanie posługując się frazeologią, do jakiej przywykł od wielu lat w „swoim” świecie, a jakiej przywykliśmy — w „na- szym”.

Choćby niby, Kazimierz nad Wisłą leży w tej sa- mej Polsce.

(Koniec odcinka 2. — cdn.)

DYŻUR SENATORA

Dokończenie ze str. 3

— W województwie chełmskim „ob-szarów do robienia uczciwych interesów jest wyjątkowo dużo.

— Przede wszystkim — mówi senator — trzeba wyjaśnić jedną sprawę. Mitem jest, że mamy 40 tys. hektarów odlogów. To nie są ugory, lecz ziemia dzierzawiona, niczyja, a wiadomo, jak o taką ziemię się dba. Na pewno nie tak jak o własną. Nie mówię, że odlogów nie ma wcale. Są, ale nie tyle, o ilu się mówi i pisze. Tymczasem jednak nie jesteśmy w stanie nic zrobić, najpierw trzeba zmienić prawo o obrocie ziemią.

Pytam o to, o czym głośno było swego czasu — o politykę rejonizacji rolnictwa. Z odejściem ekipy Rakowskiego o „ścianie wschodniej” jakoby zapomniano.

— Generalnie uważam, że w gospodarce nie powinno być żadnych przywilejów, powinny decydować prawa rynku. Niemniej ściana wschodnia to pewien wyjątek, ewenement. I jeżeli tym obszarom się nie pomoże — grozi

nam pogłębienie kryzysu na wsi, więcej: może dojść do samolikwidacji wielu wsi. Już dzisiaj są miejscowości i kolonie, gdzie zostało po kilka numerów. Dlatego też będziemy mocno naciskać w parlamencie o odciążenie tych terenów, choćby poprzez zawieszenie płatności podatków, może okresowe ich zmniejszenie, dofinansowanie z budżetu... W perspektywie pojawienia się samorządów terenowych te obszary będą zdane na własne siły. Bez pomocy państwa — nie przetrwają.

Mamy w perspektywie tworzenie się wielkich gospodarstw, 100—200-hektarowych. Zamierzenia rządu w stosunku do małych gospodarstw są jasne — będzie ich selekcja. O ile jednak wiem z lektury prasy zagranicznej, to np. w USA małe gospodarstwa nie są wcale deficytowe, nie uwsteczniają rolnictwa. Przeciwnie, oprócz tego, że produkują na rynek, są naturalnym zapleczem do zatrudniania bezrobotnych...

Z badań statystycznych wynika, że w Polsce najlepsze wyniki osiągają gospodarstwa od 5 do 15 ha. Chodzi mi o to, że już dzisiaj wielu chłopów wyliczyło, że jadą na minusie... I to bez różnicy, czy mają 3 ha, czy też 110.

Podaję przykład Tadeusza Padzińskiego. Streszczam jego problemy.

— To właśnie te 5 procent przemysłu dla wsi. To będzie gnębić rolników jeszcze długo. Brak maszyn. Wielu rolników nie będzie stać na zakup ciągnika, rozrzutnika, innych środków do produkcji. Będą musieli się przestawić na inne rodzaje działalności, np. produkcję zdrowej żywności. O ile dobrze wiem, Niemcy są zainteresowani rolnictwem ekologicznym. Może ogrodnictwo, może szkółkarstwo, ziola... Trzeba będzie po prostu szukać swojej szansy.

Senator zanotował problemy rolnika Padzińskiego ze Strupina. Obiecał interweniować.

Wychodząc z biura, nie mogłem się jednak oprzeć refleksji: zanim ta interwencja trafi do odpowiednich rąk i przyniesie jakikolwiek skutek, rolnik straci kolejne miliony.

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE
Teatr Lalki i Aktora: 24—26.01 godz. 10, 12; 27—28.01 godz. 12; 30—31.01 godz. 10, 12: „Słowik” baśń H. Ch. Andersena; reż. Tomasz Jaworski.
Teatr Muzyczny: 25.01, 27—28.01, 30.01 godz. 19: „Błękitny zamek” Lucy Montgomery.

MUZYKA

Filharmonia — 26.01 godz. 19, 27.01 godz. 17, 28.01 — recital Stanisława Sojki. 30.01 godz. 19 — recital fortepianowy Piotra Palecznego. W programie: utwory F. Chopina i kompozytorów japońskich.

WYSTAWY

W LUBLINIE,

Muzeum J. Czechowicza — wystawa Małgorzaty Zurakowskiej: Mezzotinta.

Zamek Lubelski — wystawa pt. „Hej koleś, koleś...” (zimowe zwyczaje ludowe).

Galeria Labirynt 2 (ul. Grodzka 3) — wystawa rysunków i instalacji Joanny Przybyły.

Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa Zdzisława Kwiatkowskiego pt. „Instalacje i Performance”.

Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa grafiki Zbigniewa Jóbwika.

Galeria NOVA (ul. Grodzka 5) — wystawa prac Jerzego Kostki.

Galeria BWA (ul. Narutowicza 4) — wystawa rzeźby Sławomira Haponskiego.

Dworek Wincentego Pola — wystawa pt. „Wincenty Pol i Ludwik Zejszner — pierwsi profesorowie nauk o Ziemi Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

Filharmonia (foyer) — wystawa Henryka Długosza.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Estaki — wystawa malarstwa Wietnamu.

W ZAMOŚCIU

BWA — wystawa pt. „Urok secesyjnej kreski we współczesnym plakacie polskim” (60 plakatów najwybitniejszych polskich grafików).

LISTY

Jaki profil „Relacji”?

Po przeczytaniu nr 45/89 „Relacji” w sprawie profilu gazety (p. Marka A.) jestem wręcz przeciwnego zdania. Jego stwierdzenie, że „Ukraińcy i Litwini, Białorusini, nieszkający w chwili obecnej na terenie RP, raczej nie uważają się za mniejszość narodową” — jest sprzeczne w sobie. Jeżeli wymieniona została w zdaniu narodowość — to o kim mowa?

Osobiście jestem za tematyką dotyczącą spraw polsko-ukraińskich, to moim przekonaniu trudniejszych psychologicznie aniżeli polsko-niemieckich. Jestem zabuzanimem, repatriantem z roku 1957 — przekonałem się o tym sam, tak po jednej stronie granicy (ukraińskiej) jak i po stronie drugiej (polskiej). Lublin i województwo jest takim terenem, gdzie te sprawy są żywe i naoczne, mam na myśli enklawy zamieszkałe przez ludność ukraińską, w morzu polskim. Z natury rzeczy w najbliższych stosunkach jesteśmy z Rosjanami, jakby przeskakując przez przyległy do Polski teren Ukrainy, Białorusi, Litwy. Fobie narodowe są zawsze obustronne, jak wśród jednych, tak wśród drugich, niezależnie od usytuowania granicy wschodniej, zachodniej czy południowej, i bardziej lub mniej usprawiedliwione. Tak się składa, że łatwiej żyje się narodom np. w USA — gdzie żyją obok siebie narody różne na ziemi „obcej”, ale wspólnej. Być może, gdy nastąpi zjednoczenie Europy, coś się w tym zakresie zmieni.

Moja matka była wielce zgorzogniona, gdy na targu w Tarnopolu w 1946 roku zobaczyła polskiego oficera sprzedającego damską bieliznę — widocznie był to oficer wojska ludowego. Nie dziwię się, że starzy Polacy ze Lwowa też się porażą postawą rodaków, ale życie jest prozaiczne bardziej aniżeli tęsknota za utraconą nieskazitelną.

(Imię i nazwisko)

(w wiadomości redakcyjnej)



Na spektakl pt. „Popioły” (14.01.1990 r.), przygotowany przez Teatr Scena Ruchu w Lublinie, kupowano bilety po 4 tys. zł.

Fot. Maciej Kaczanowski

OGŁOSZENIA DROBNE

LOKALE

Lokal mieszkalny i użytkowy w Lublinie 206 m kw. odnajmę w zamian za wykończenie. 71-50-60.

24956/G

Pośrednictwo 77-86-12.

32859/G-4

RÓZNE

KUPNO, SPRZEDAŻ, ZAMIANA nieruchomości i mieszkań. Akt notarialny w ciągu 24 godzin. „Miro” tel. 44-872.

33030/G-3

Najtańsza wypożyczalnia kaset video: Leonarda 18, Klub MPiK.

34123/G

Czwartek

25 STYCZNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Policjanci z Miami” (13) — „Złoty trójkąt” — serial krym. prod. USA
10.10 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Ordy”
17.15 Teleexpress
17.30 Poligon — wojskowy magazyn public.
17.55 „Poza rok 2000” — film dok. prod. australijskiej
18.25 Magazyn katolicki
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc
19.10 Interpelacje (1)
19.30 Wiadomości
20.05 „Policjanci z Miami” (13) — „Złoty trójkąt” — serial krym. prod. USA
20.55 Interpelacje (2)
21.35 Sport
21.45 Lex — magazyn społeczno-prawny
22.30 Dt — echa dnia
22.50 Pegaz
23.30 Język angielski (44)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (14)
17.25 Program dnia
17.30 Psychostudio
18.00 Program lokalny
18.30 Program na życzenie
19.30 Zielone kino: „Opowieść o tchórze” — film przyr. prod. węgier.
20.00 Wielki sport
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki” Witold Gombrowicz — „Historia”

Piątek

26 STYCZNIA

PROGRAM I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Carscy kadeci” (4 — ostatni) — serial muzyczno-kostiumowy prod. ZSRR
10.40 Domator
15.50 Program dnia i Telegazeta
15.55 Intersygnal
16.25 Dla młodych widzów: Rambat — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.50 Skarbiec — magazyn historyczny
18.30 Rzeczpospolita samorządna
18.50 Weekend w „Jedynce”
19.00 Dobranoc
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Wiadomości
20.05 „Trzydziesty ósmy” — film prod. austriacko-zachodnoniemieckiej
21.40 Sport
21.50 Kontrapunkt
22.20 Spór o jutro — otwarte studio (1)
23.20 Dt — echa dnia
23.40 Spór o jutro — otwarte studio (2)

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Za chwilę dalszy ciąg programu
19.30 Dookoła świata: Australia'88
20.00 Piątek — magazyn z Krakowa
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy Woody Allena: „Wnętrzna” — film prod. USA
23.15 Komentarz dnia

Sobota

27 STYCZNIA

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Jelonek” — serial prod. jugosł.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 „Epitafium dla króla Tatr” — reportaż Zofii Haloty
11.00 Zdrowie — magazyn wojskowy
11.30 Laboratorium: Jaki jest wszechświat?
12.00 Po czasach wojen — reportaż
12.45 Szkoła mistrzów: Krzysztof Kieślowski
13.05 Telewizyjny Teatr Prozy: Zofia Nałkowska — „Granica” (3)
14.35 Prezydenci: Calvin Coolidge
15.05 Filmy o miłości: „Roman i Magda” — prod. pol.
16.45 Flesz — magazyn muzyki rozrywkowej
17.15 Teleexpress
17.30 Butik
18.00 Program public.
19.00 Dobranoc.
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Zima
19.30 Wiadomości
20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Lili” — prod. USA
21.30 Sport
21.50 Tydzień w polityce
22.00 Śnieżycy i śnieżynka — program rozrywkowy
23.10 Telegazeta i jutro w programie
23.20—0.55 Kino sensacji: „Klub wampirów” — prod. ang.

PROGRAM II

10.55 Trzy godziny z TV Katowice
13.55 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
14.25 5 — 10 — 15 — program dla dzieci i młodzieży
15.55 Studio sport: Puchar Świata w narciarstwie alpejskim
16.45 Powitanie
16.50 Dookoła świata z Michaeliem Jacksonem
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Legendy filmu: John Wayne
19.30 Alfa i omega
20.00 Przed konkursem chopinowskim: Było 11 konkursów
20.50 Kult młodych — recital zespołu „Kult”
21.30 Panorama dnia
21.45 „Znowu w Brideshead” (4) — serial fab. prod. ang.
22.40 Komentarz dnia
22.45—23.35 Studio Foksal'89

Niedziela

28 STYCZNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Telerepekt, a w nim „Uciekaj Rebeko, uciekaj” (2) — film przyg. prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Złoto” — odc. 7 pt „Złota miara” — serial dok. prod. wł.
11.15 Kraj za miastem
11.45 Telewizyjny koncert życzeń
12.30 Teatr dla Dzieci: Hanna Januszewska — „Biwak z przysiewkami”
13.05 Sportowa niedziela: Puchar Świata w narciarstwie alpejskim
14.05 Morze — magazyn public.
14.25 Pieprz i wanilia: Z wiatrem przez świat — Dzień na „Darze”
15.10 Antena
15.35 „Panna dziedziczka” (37) — serial fab. prod. brazył.
17.15 Teleexpress
17.30 Marimba Ponies — japoński zespół dziecięcy
18.00 Muzyczna telewizja
19.00 Wieczorynka
19.30 Wiadomości
20.05 „Dekalog, osiem” — film fab. TVP.

21.05 Śledem dni: Świat
21.35 Sport
22.15 Program public.
22.30 Filmy Józefa Błachowicza: „Oblicze zbrodni” — cz. 3 pt. „Obrona Adama”
23.00 Jutro w programie i Telegazeta

PROGRAM II

9.45 Przegląd tygodnia dla (niesłyszących)
10.20 „Dekalog, osiem” film fab. TVP (dla niesłyszących)
11.15 Krótkofalowy
11.45 Jutro w programie
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Cyrk francuski
13.00 100 pytań do...
13.40 Kino rodzinne: „Bajarz” — odc. 5 pt. „Bidula” — serial prod. ang.
14.05 Maciej Niesiołowski: Z batutą i z humorem
14.20 „Polacy” — film dok.
14.55 Podróże w czasie i przestrzeni: „Biblia a historia” (2) — serial dok. prod. ang.
15.50 Biografie: „Gore Vidal” — film dok. prod. ang.
16.50 Nad Niemnem, Piną i Prypecią: Mereczowszczyzna — gawęda prof. Wiktora Zina
17.10 Z wiatrem i pod wiatr
17.30 Bliżej świata
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 W ojczyźnie mej serce zostało — reportaż
20.00 Studio sport
21.00 Wojciech Młynarski — najnowsze piosenki
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wojna i pamięć” (22) — serial fab. prod. USA
22.45—22.50 Komentarz dnia

Poniedziałek

29 STYCZNIA

PROGRAM I

16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (1) — serial TVP
17.15 Teleexpress
17.30 Gorące linie
17.55 „Oto mistrz” — reportaż
18.30 Program public.
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: Mały szop
19.10 W Sejmie i Senacie
19.30 Wiadomości
20.05 Teatr Telewizji: Władysław Tenlecki — „Cyklop”
21.45 Sport
21.55 Program public.
22.10 Zawsze po 21-ej — magazyn reporterów
22.55 Dt — echa dnia
23.10 Język francuski (3) — powtórzenie

PROGRAM II

16.55 Język angielski (15)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 „Zmagania o Polskę” (4) — „Okupacja” — serial dok. prod. ang.
19.30 Życie muzyczne: Paweł Kowalski — laureat XXIII Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku
20.00 Auto-Moto-Fan-Klub
20.30 Program rozrywkowy
21.30 Panorama dnia
21.45 „Heimat” — serial prod. RFN
22.45 Komentarz dnia

Wtorek

30 STYCZNIA

PROGRAM I

9.00 Dt — wiadomości
9.10 Domowe przedszkole
9.35 Teleferie TDC: Kulig
10.15 Kino Teleferii: „Paziowie króla Zygmunta” (1) — serial TP

10.45 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej” (1) — „Komu się uda, ten będzie w gazecie” — serial obycz. prod. RFN,
11.45 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (2) — serial TP
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka
18.25 W stronę rynku
19.00 Dobranoc
19.10 Od A do Z: F — jak fiskus
19.30 Wiadomości
20.15 „Kir Royal — z życia reportera kroniki towarzyskiej” (1) — „Komu się uda, ten będzie w gazecie” — serial obycz. prod. RFN

21.15 Sport
21.25 Fleks — program baletowy
21.55 Sprawa dla reportera
22.35 Dt — echa dnia
22.55 Język rosyjski (15)
PROGRAM II
16.55 Język angielski (45)
17.25 Program dnia
17.30 Klub ludzi z przeszłością
18.00 Program lokalny
18.30 Modlitwa wieczorna z Kalwarii Zebrzydowskiej
18.50 Program public.
19.30 Studio sport
20.00 Non stop kolor: „Eric Clapton” — film dok. prod. ang.
21.05 W kręgu sztuki: „Wielcy fotograficy” (3) — serial dok. prod. włoskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio im. K. Irzykowskiego: „Życie wewnętrzne” — film fab. prod. pol. Reż. Marek Koterski
23.15 Komentarz dnia

Środa

31 STYCZNIA

PROGRAM I

9.00 Dt — wiadomości
9.10 Domowe przedszkole
9.35 Teleferie TDC: Kulig
10.15 Kino Teleferii: „Paziowie króla Zygmunta” (2) — serial TP
10.45 „Dziecięcy ogród” cz. 1 — film obycz. prod. CSRS
11.45 Domator
16.20 Program dnia i Telegazeta
16.25 Teleferie najmłodszych
16.45 Kino Teleferii: „Przygrywka” (3) — serial TP
17.15 Teleexpress
17.30 Sensacje XX w.
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Dawniej niż wczoraj
18.45 10 minut
19.00 Dobranoc: F
19.10 Oferty Pegaza
19.30 Wiadomości
20.05 „Indeks” — film fab. prod. pol.
21.40 Sport: Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie
22.50 Dt — echa dnia
23.05 Plus — minus
23.30 Język angielski (15)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (3 — powtórzenie)
17.25 Program dnia
17.30 Kultura '90 — spotkanie z wiceministrem kultury i sztuki — Michałem Jagiełłą
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Pokój niżej” (4) — serial prod. ang.
19.30 Zwierzęta wokół nas
20.00 Czarno na białym — przegląd pki
20.40 Przegląd muzyczny
21.00 Ze wszystkich stron: „Mała Korea”
21.30 Panorama dnia
21.45 „Przyjaciele” (5) — „Walka” — serial TP
22.55 997 — kronika kryminalna
23.55 Komentarz dnia

relacje**ADRES REDAKCJI**20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231**TELEFONY**• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY
• 205-34 • SEKRETARZ REDAKCJI
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE**ZESPÓŁ**EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSLAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY)
ZBIGNIEW DZIECIÓLEK • WIESŁAW HORABIK • VIOLETA KRASNOWSKA • HENRYK PAJAK • ANDRZEJ W. PAWLUCZUK
WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ REDAKCJI)
• WALDEMAR STEPIEN (FOTOREPORTER) • LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO)
IZABELLA WŁAZŁOWSKA (WSPRACOWNICA) • MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA (GRAFIK) • KRZYSZTOF LAMCH
KORREKTA BARBARA CABAN (MASZYNOPIS) • BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLUS (SEKRETARIAT) • ANNA
WOJCIWICZ (TRANSPORZ) • GRZEGORZ BORZĘCKI**WYDAWCA**

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”.

DRUK

Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

AD VOCEM STUDENT

STUDENT osadzony jest głęboko w tradycji historycznej, choć daje żywo i głośno znać o sobie w obecnych przede wszystkim czasach. Tradycja to przede wszystkim związek studenta z uczelnią: z akademią, sięgającą początkami Akademii Platonskiej, błędnie do w gaju Akademosy koło Aten nauczał w IV w. p.n.e. sam Platon; z politechniką (z greckiego: politechnos — wyuczony, biegły w wielu sztukach); wreszcie oczywiście z uniwersytetem, oznaczającym (za łacińską „uni-versitas” — ogół) wszechnicę nauk. Średniowieczny uniwersytet nosił też zaszczytne miano „Alma Mater” — tj. matki-żywiicielki, karmiącej oczywiście w tym sensie wiedzą, a nie stołóvkowymi zupkami i stypendialnym groszem.

Stypendium (łacińskie: stipendium) starożytni jednak też już znali i to na długo przed uniwersytetami i studentami. Oznaczało ono wówczas wyśłużony przez żołnierza żołd. Dzisiaj studenci raczej bojkotują zajęcia studium wojskowego, czyli na swój żołd (stipendium) w rzymskich czasach nie zasłużyliby.

Bojkotują (a to już słowo angielskiego pochodzenia) również zajęcia z nauk politycznych i innych tzw. przedmiotów ideologicznych. Czym się więc na uczelni zajmują? Można by sądzić, że polityką, bo to dzisiaj znacznie łatwiejsze zajęcie, zwłaszcza bez studiowania nauki o polityce. Ale i to wątpliwe, skoro na niedawnym zjeździe Niezależnego Zrzeszenia Studentów najmniej dyskusji — jak podała prasa — wywołały kwestie programowe, a dominowały walki frakcyjne, w rezultacie czego, obok podwójnej osobowości prawnej, wyszli z niego studenci z potrójnym — co najmniej — układem podzielonych grup i środowisk.

Może więc warto na koniec wyjaśnić, że student i studiowanie pochodzą z łacińskiego „studeo, studere” — starać się usilnie, przykładać się. Do czego? To już pewnie wyjaśni bliska całkiem sesja egzaminacyjna.

Arcus M.

ZNAJOMEK mój, po 25 latach nienagannej pracy wyrzucony z roboty za nawiedzenie ideami „Solidarności”, niedawno zwierzył mi się, że zamierza zamówić w pewnej prywatnej drukarni, wielce zasłużonej w drugim obiegu, dziesięć tysięcy ulotek z hasłem: „Komuno wróć! Ratuj!” Rozrzuci je w gmachach byłej PZPR, w siedzibach „Solidarności”, pod Belwederem i Sejmem, telewizją, w lokalach KPN, PSL, „Odrodzenie”, SD, PPS, PPS-Frakcja Rewolucyjna, ZBoWiD, TPRP, SDPRL, SDP. Będzie je wręczał znajomym komunistom i kryptokomunistom, wszelkim lewakom spod ciemnej gwiazdy, endekom, oha-dekom, centrystom. Nie pominie Żydów, pół-Żydów oraz antysemitów, cywilów i mundurowych: milicjantów i księży, wojskowych i leśników, kolejarzy i kominiarzy.

Uzupełniłem jednym tchem.

— Nie zapomnij o literatach. To niezbyt liczna lecz wpływowa zgraja nierobów, wyjątkowo ciętych na obecną sytuację!

Zgodził się ze mną, zanotował tę profesję w swoim karnetku, po czym zapytał, czy tytuł: „Komuno wróć! Ratuj!” jest dostatecznie ostry. Zauważyłem, że przypomina zyletki „Polsilver” z czasów, kiedy produkowano je ze stali szwedzkiej. Zaproponowałem jedynie zwiększyć liczbę wykrzykników. Mój zdaniem, każde z trzech słów tytułu powinno kończyć się trzema wykrzyknikami; „KOMUNO!!! WRÓĆ!!! RATUJ!!!” W wersji łagodniejszej, opowiadałem za stopniową eskalacją napięcia: „KOMUNO! WRÓĆ!! RATUJ!!”

Nieoczekiwanie uznał obie propozycje za przesadne. Deszcz wykrzykników, dowodził z rzadką u niego przenikliwością, niepotrzebnie rozwodni surowy, powściągliwy dramatyzm wzwania. „Zwróć uwagę — dodał — że Marks redagując swoje słynne: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”, zadowolili się jednym wykrzyknikiem, co wystarczało do rozpękania biblijnego piekła na trzeciej części globu”.

— Ale ty, mam nadzieję, nie masz tak globalnych planów wszechświatowej rewolucji, jakie przyswiecały Marksowi? — spytałem z przerażeniem,

bo to oznaczałoby kontynuację piekła przez następne 70 lat.

— Ma się rozumieć, że nie! Marks był satanistą, potworem, który dwie z trzech swoich córek doprowadził do samobójstwa. Poza tym nienawidził proletariatu, a ja nienawidzę tylko komunistów. Ale chcę, żeby powrócili do władzy choć na miesiąc. Tu, teraz! Natychmiast!

Gdy wyrzuciłem z siebie te słowa, on, od dzieciństwa przeniknięty ideami dobra i przebaczenia — nienawiść i furia przydały jego oczom blasku nawiedzenia pierwszych chrześcijan.

— O co ci chodzi? — spytałem szep-cem. Byłem wstrząśnięty jego metamorfozą, determinacją.

KOMUNO WRÓĆ! RATUJ!!

Henryk Pająk

Popatrzył na mnie z politowaniem, jak na kogoś, kto nagle stracił wzrok i pakuje się pod koła samochodów.

— Chcę, żeby to wszystko się rozpieprzyło do imentu! Czy nie widzisz, że to zdrada? Gigantyczne oszustwo?

— Lejesz wodę na młyn komuny!

— Leję, ale jeszcze mocniej olewam to co się dzieje! — wykrzyknął z męką w głosie.

— Te pisuarowe przenośnie przełoż mi na język faktów, argumentów — podjąłem nieśmiało. Ale on pogryzł się we wzgardliwym milczeniu. Czując, że tracę przyjaciela, bąknąłem oględnie:

— No cóż. Mnie również to i owo się nie podoba. Ale nie przekreślam idei! Na razie jestem gotów postrzegać ją w kategoriach błędów, ale nie oszustwa. Chyba przesadzasz!

Nie podjął tematu. Wstał. Z rękami w kieszeniach zbliżył się do okna. Długo patrzył na tłum, na pędzące pojazdy. Odwrócił się do mnie. Głową wskazał okno.

— Pomyśleć, że ja o nich walczyłem. Wyleciałem z roboty! Byłem jednym z pierwszych!

Powoli uspokajał się. Wrócił do stołu. Podsunął mi arkusz papieru.

— Pisz! — rozkazał tonem wodza redagującego manifest do narodu. Lecz ja nie wiedziałem, co pisać.

— Treść ulotki? — spytałem z uległością płatnego skryby.

— Tak jest! — potwierdził. Twarz miał ściągniętą, bladą. Zapewne my-

śłami już błędził nad wiwatującymi tłumami.

— Dlaczego ja? — próbowałem oponować.

— Zakładam własną partię. Czy chcesz być drugim?

Drugi, czyli pierwszy po Pierwszym. Ta pozycja odpowiadała mojej próżności. Ująłem długopis.

Nagle przyszło olśnienie. Zamiast już ustalonego: „Komuno wróć! Ratuj!”, napisałem: „Proletariusze Rzeczypospolitej łączcie się!”

Zajrzał mi przez ramię. Czulem na sobie jego płomienny, rwany oddech. W pewnej chwili wyjął z mojej dłoni długopis i po słowach „...łączcie się!”, postawił jeszcze dwa, wściekle zamazane wykrzykniki!!!

O NOWEJ TO HUCIE PIOSENKA

Jolanta Winiarczyk

WLADZA była nie taka i robiono jej w poprzek. Władza jest jak trzeba, a naród krnąbrny i najeżony dalej stosuje zasadę: „Kto raniej wstaje, ten rządzi” lub też „Kto pierwszy, ten lepszy”. Jest to sęk, sęk dziurawy i co światlejsi zalamują ręce nad zbiorowym pędem naszym do narodowego rumowiska.

Naród zmienił sobie rządzących, ale rządzić chce się sam. Gdy entuzjazm burzenia w Nowej Hucie pogroźono już paluszkami, dopuszczono ich (absolutne novum) do głosu. A więc w naszej zdemokratyzowanej telewizji można było obejrzeć i posłuchać rezolutnego młodziana, który sprawę wyłożył mniej więcej tak: „Pomnik wielkiego wodza i teoretyka komunizmu nie jest własnością Związku Radzieckiego. Postawiliśmy go sobie na własnym gruncie i na własny koszt. Teraz nam się odpodobał i nikomu nie do tego, co z nim zrobimy”.

Liczba mnoga „my” nie oznaczała — jak sądzię — pluralis maiestatis. „My” tej wypowiedzi oznaczało najprawdopodobniej cały naród, wyjąwszy komunistów i pomyślników, ale mimo całego pluralizmu, każdy wie kto tu i teraz ma coś do powiedzenia. Komuniści mieli tu trybunę przez 40 lat i teraz wypada im odpocząć. Ponadto każdy prawdziwy, niepodrabiany Polak w dobie pluralizmu ma moralny obowiązek być katolikiem i antykomunistą. Wydaje mi się, że na tej „tolerancji” znów możemy się dokąś przejechać.

Wracając do młodzieńca, będącego funkcjonariuszem któregoś odłamu ja-

kiejś, bezsprzecznie postępowej, służebnej organizacji — to po obejrzeniu programu zastanawiałam się długo skąd ja to znam — tę świeżość, tę władczość, tę młodość zapalczywą i samowolną. Nagłe olśnienie: toż to Władimir Majakowski jak żywy! To właśnie on pisał odurzony wolnością: „ulica moja, domy moje!”

Podaję, że zamim socjalizm wykształcił swe spotworniałe struktu-



rys. Arkadiusz Derecki

ry, zanim nie osiadł na masywnej biurokracji, na X-stopniowych sprawozdaniach o stanie zawartości dziurek w nosie, tak właśnie ludzie chcieli go widzieć. Nasza wspólna własność; pracujemy w naszej fabryce, do której jedziemy naszym tramwajem obok naszego pomnika Lenina. Jedyna istotna korekta współczesności: nie chcemy do naszej fabryki jechać obok naszego pomnika Lenina.

Lenin za życia sam był świadkiem niszczenia tego i owego. Za jego przyzwoleniem zamieniano świątynie w magazyny zbożowe, bądź po prostu w rumowiska. Być może jest sprawiedliwoscia dziejowa żądza ludu obejrzenia jego wizerunku na bruku. Tak to jest — prekursor na bruk i basta! Nieważne, że jego teorie są ogółowi mniej znane niż buddyzm, ważne, że stanowi on symbol praźródła dzisiejszej biedy, ważne, że w końcu „ulica moja, domy moje”. No to przemeblujmy tę naszą ulicę, czemu nie? Po tych 40. latach wychowaliśmy komunistów w najczystszej, rewolucyjnej formie — zdecydowanych, rządzących i samorządnych.

Problemy p. Mazowieckiego w Moskwie i okolicach — to jego działka, a pomniki Lenina i innych — to sprawa naszego podwórka. Naród uwierzył, że decyduje o wszystkich istotnych dla siebie sprawach i trzeba nas teraz reedukować na Zachodzie. Nie łamię rąk nad zdziwieniem Polaków. Na tym przykładzie fajnie widać jak przekorne niespodzianki niesie nam po pełnej socjalistycznej demokracji — demokratyzacja.

Niestety, w sferze zachowań społecznych jesteśmy dokładnie tak samo zafani jak i w komputerach. Gniewnym marszczeniem brwi nikt tego nie zmieni. Kto młody i żywy bierze za farbę, za łom, za kamień. Czyżby spuścizna po prapradziadkach sąsiadów bezczeszczących kościoły? Dobrze widzieć i wiedzieć, że ta „lawa” znowu splywa; smutno, że zaczyna od miejsc, które osiągnęła przed półwieczem.

W NUMERZE 5. OPUBLIKUJEMY:

★ „Polacy mają dość wszelkiego socjalizmu”, czyli wywiad z profesorem Ryszardem Benderem ★ Czy w Lublinie może istnieć pismo pod tytułem „Relacje” albo „Relacjom” podobne? ★ Dlaczego troje dzieci wybrało śmierć? ★ O tym, co widział i co robił podpułkownik NKWD ★ Czy Pojezierze Łęczyńskie będzie odstojnikiem brudów? ★ Foto-postscriptum do „Cichociemnych na Lubelszczyźnie” ★ Ciąg dalszy opowieści o Kuncewiczach i ich domu w Kazimierzu ★ Nasze polskie porno ★ Listy-polemiki czyli Czytelnicy o sprawach poruszonych w „Relacjach”.